Czas. 11049/32/9

ROK ZAŁOŻENIA 1933 (XXXII) LUBLIN 15—31.V.1965 Nr 9 (319) CENA 2 ZŁ

BIBLIOTEKA UMCS

Kamena

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Białystok — Kielce — Lublin — Rzeszów

MAREK ADAM JAWORSKI

Przyjaciołom i wrogom

Redakcja „Nowin Rzeszowskich" zwróciła się do przewodniczącego WK FJN, I sekretarza KW PZPR w Rzeszowie, Władysława Kruczka, z pytaniami dotyczącymi aktualnych problemów województwa. Jeden fragment wypowiedzi Władysława Kruczka jest szczególnie charakterystyczny.

„...Nie od razu Kraków zbudowano. Wiemy przecież dobrze, jaką spuściznę objęliśmy po rządach kapitalistycznych i z jakiego punktu startowaliśmy. I jeżeli dziś różni panowie z „Wolnej Europy" i innych zachodnich ośrodków dywersyjnych reprezentujący interesy zbankrutowanej klasy posiadaczy próbują nam „podpowiadać", czego nie zrobiliśmy, z góry za takie „rady" im dziękujemy. Naszą odpowiedź jest jednoznaczna: czego wy, panowie, dokonaliście w ciągu dwudziestolecia międzywojennego? Daliście zatrudnienie tylko 40 tys. osób na około 2 mln mieszkańców, podczas gdy my zapewniliśmy pracę dla ponad 300 tys. osób. To dzięki wam Polska sanacyjna nie osiągnęła w ogólnej produkcji przemysłowej poziomu sprzed I wojny światowej, podczas gdy teraz nasz kraj należy do najbardziej uprzemysłowionych państw Europy. Wy w międzywojennym dwudziestoleciu zelektryfikowaliście na Rzeszowszczyźnie „aż" 6 wsi, my zelektryfikowaliśmy w tym czasie blisko 1100 wsi. Wy zbudowaliście 24 km dróg bitych, my — blisko 3 tys. km, czyli przeszło sto razy więcej.

Na prawie 2 mln obywateli zamieszkujących teren dzisiejszego województwa było zaledwie 346 lekarzy medycyny i 47 lekarzy dentystów oraz 9 szpitali dysponujących liczbą 700 łóżek. Dziś mamy ponad 1000 lekarzy, blisko 400 lekarzy dentystów i około 900 felczerów i pielęgniarek. Liczba szpitali wzrosła do ponad 20. Do dyspozycji

(Dokończenie na str. 2)

Witamy Zjazd Pisarzy Ludowych

W DNIACH od 17 do 19 maja br. odbędzie się w Lublinie Międzywojewódzki Zjazd Pisarzy Ludowych, w którym weźmie udział około 60 samorodnych twórców. Głównym organizatorem Zjazdu jest Wydział Kultury Prez. WRN w Lublinie.

W programie tej imprezy przewidziane są trzy referaty: dr Jana Szczawieja o tradycjach literatury ludowej w Polsce, dr Romana Rosiaka o lubelskiej literaturze ludowej, dr Aliny Aleksandrowicz o chłopskim pisarstwie Lubelszczyzny oraz dyskusja. Uczestnicy Zjazdu zwiedzą w drugim dniu obrad Nałęczów (o którego tradycjach będzie mówić mgr Tadeusz Klak), Puławy, gdzie w PDK nastąpi otwarcie wystawy sztuki ludowej, oraz Kazimierz. W Lublinie odbędzie się też „wieczór jednego wiersza" z udziałem około 25 poetów. Celem Zjazdu jest też — obok podsumowania dorobku współczesnej literatury ludowej w Polsce — powołanie do życia Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych.

Wśród zaproszonych na Zjazd najliczniej reprezentowani są twórcy Ziemi Lubelskiej — z Janem Pockiem, Stanisławem Buczyńskim, Bronisławem Pietrakiem i Władysławem Kuchtą na czele. Spośród poetów białostockich trzeba wymienić Melanię Burzyńską, Franciszkę Wierzbicką, Irenę Suszyńską i Halinę Oliszewicz, z kieleckich — Michała Bassę, Feliksa Raka i Marię Cedro - Biskupową, z Rzeszowa — Józefa Kapuścińskiego, Walentego Kunysza (o jego twórczości napiszemy osobno w jednym z następnych numerów) i Stanisława Harlę.

Warto dodać, że w Zjeździe wezmą udział przedstawiciele wszystkich województw. Nie zabraknie reprezentujących bardzo wysoki poziom twórców poezji góralskiej — z Hanką Nowobielską, Stanisławem Gąsienicą Byrcynem, Adamem Pachem, Andrzejem Skupniem-Florkiem i Piotrem Krzykalskim, pisarzy kaszubskich — z Alojzym Naglem i Antonim Piepercem oraz pomorskich — ze Sewerynem Skulskim — jednym z najwybitniejszych współczesnych pisarzy ludowych w Polsce. Redakcja „Kameny", życząc uczestnikom Zjazdu owocnych obrad, prezentuje wewnątrz numeru wybór ich wierszy z nadzieją, że spotkają się one z życzliwym przyjęciem Czytelników.

MIROSŁAW DERECKI

ZARAZ PO WOJNIE

Cena 1 zł

RZECZPOSPOLITA

Rok II Warszawa-Łódź-Kraków-Lublin, środa, dnia 9 maja 1945 r. Nr 122 (263)

Wojna w Europie skończona

Bezwarunkowa kapitulacja Niemiec

Dnia 7 maja o godz. 2 min. 41 czasu środkowo-europejskiego niemieckie siły lądowe, morskie i powietrzne w Europie poddały się bezwarunkowo głównemu dowództwu radzieckiemu i alianckim siłom ekspedycyjnym. Warunki kapitulacyjne wchodzą w życie dnia 8 maja o godz. 23.01

Akt kapitulacyjny podpisali: z jednej strony generał Jodl - z ramienia niemieckiego sztabu generalnego i rządu admirała Doenitza, z drugiej strony gen. Susłoparow w imieniu dowództwa naczelnego wojsk radzieckich oraz gen. Beddel. Smith i gen. Sevez w imieniu dowództwa naczelnego sił ekspedycyjnych sprzymierzonych.

OTO czołówka „Rzeczypospolitej" (nr 122(263) z 9 maja 1945 roku. Papier, na którym drukowano gazetę, bardzo jeszcze podły, „wojenny", za to tekst złożony czcionkami radosnymi, wielkimi, takimi, że nawet analfabeta by przeczytał. Podobne komunikaty zamieściły wszystkie pisma wychodzące wówczas w Polsce.

Lublin w tym czasie był już od siedmiu i pół miesiąca „po wojnie". Zdążył już oswoić się trochę z wolnością. Życie miasta zaczynało się układać w jakichś tam swoich „wojewódzkich" granicach. Po burzliwym okresie wojny i niemal równie burzliwym „Polski Lubelskiej".

Zajrzyjmy zresztą do starych numerów dzienników — *„Głosu Ludu"* i *„Gazety Lubelskiej"*.

Oddział Spółdzielczości i Handlu Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie toczył walkę ze spekulacją i lichwą i na ten temat ukazywały się w prasie codziennej sążniste artykuły. Cena kartkowego cukru wynosiła 5 ówczesnych złotych zaś kilogram herbaty — 600 zł, mydła — 9,50 zł. Szpital miejski w Radomiu był widocznie bez rąk do pracy, bo zrozpaczone władze miejskie, co kilka dni zamieszczały ogłoszenia o wolnych etatach dla lekarzy, których prawdopodobnie w Lublinie spodziewali się znaleźć. (Otwarto tu już przecież wydział lekarski na UMCS).

(Dokończenie na str. 6)

WIOSNA W BIESZCZADACH

ADOLF JAKUBOWICZ

POZNALIŚMY się, gdy kopali fundamenty pod własny dom. Właściwie nie było powodu, by się tu zatrzymywać. Ostatecznie to nie te lata, kiedy nowo postawiony budynek był przedmiotem ogólnego zainteresowania.

Pamiętam, że zwrócila moją uwagę wielkość wykopów pod przyszłe mury. Były one, jak na tutejsze warunki, szczególnie duże.

Podeszliśmy w stronę pracujących. Przywitaliśmy się. Zaspokojono moją ciekawość. Okazuje się, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Młodzi gospodarze postanowili zbudować dom duży, obszerny, wygodny, choćby miało się to stać kosztem czasu, w którym będzie on ukończony. Obejrzeliśmy plan, wysłuchałem projektów, w jaki sposób mają zamiar wykorzy-

(Ciąg dalszy na str. 7)

30 MAJA WSZYSCY DO URN WYBORCZYCH

Przyjaciołom i wrogom

(Dokończenie ze str. 1)

służby zdrowia oddano 90 samochodów, 6 samolotów i helikopter.

I po cóż silić się na porównania, skoro fakty są najbardziej wymowne".

Właśnie — fakty. Przejrzałem dokładnie programy wyborcze wojewódzkich komitetów Frontu Jedności Narodu w Białymstoku, Kielcach, Lublinie i Rzeszowie. Niezwykle pouczająca lektura, zwięzły bilans osiągnięć i przedstawienie perspektyw dalszego rozwoju. Nie ma tu lukrowanych sloganów, obiecanek bez pokrycia. Nauczyliśmy się gospodarować z ołówkiem w ręku. Jeśli nawet w ubiegłych latach trzeba było dokonać pewnych przesunięć, pewnej korekty planów, jeśli tu i ówdzie nie udało się przeprowadzić tego, co zamierzaliśmy, szczerze o tym mówimy wiedząc, że nic tak nie osłabia więzi ze społeczeństwem jak przemilczanie, unikanie tematów drażliwych.

Oto na przykład na Lubelszczyźnie przekroczono zaplanowane w poprzednim programie wyborczym nakłady inwestycyjne przeznaczone na rozwój przemysłu. Przekroczono globalnie, ale Łuków nadal czeka na zakłady mięsne, a Biała Podlaska na fabrykę mebli. Nie byliśmy jednak w stanie — jak wykazała praktyka — rozpraszać posiadanych środków materialnych i kadrowych. Z całą energią musieliśmy przystąpić do budowy kombinatu azotowego w Puławach, który przekształci nie tylko wieś lubelską, ale stanowić będzie olbrzymi wkład w unowocześnienie, intensyfikację rolnictwa w skali ogólnopolskiej, dając ponadto zatrudnienie tysiącom ludzi z przeludnionych wsi i osiedli.

W woj. białostockim znów mimo niepełnej realizacji programu inwestycyjnego pod względem rzeczowym zatrudnienie w przemyśle zwiększyło się do 54,5 tys. osób wobec 49 tys., jak to zakładał poprzedni program wyborczy.

Czytelnicy znajdą w tym numerze „Kameny" bilans osiągnięć województwa kieleckiego. W poprzednich numerach zajęliśmy się osiągnięciami innych wschodnich województw. Podane już fakty uzupełnijmy innymi.

W woj. kieleckim w ostatnich czterech latach zbudowano 254 szkoły podstawowe o 1739 izbach lekcyjnych. Program budowy dróg lokalnych na lata 1959—1965 ustalony w wysokości 2000 km wykonany został o rok wcześniej i z nadwyżką! O rozmiarach przełomu dokonanego w ostatnim okresie w budownictwie rad narodowych, zakładów pracy, spółdzielczości i indywidualnym — świadczy przewidywane wybudowanie w latach 1961—1965 ponad 72 tys. izb mieszkalnych. Znaczy to, że w ciągu tych pięciu lat województwo wzbogaci się prawie o tyle nowych izb mieszkalnych, ile wybudowano w latach 1945—1960, a więc w okresie lat piętnastu. Wszelkie komentarze są tu zbyteczne.

Program WK FJN wysoko ocenił rolę środowisk twórczych. Mają one na swoim koncie *„duży dorobek w rozwoju i upowszechnianiu socjalistycznej kultury. Ludzie teatru, literaci, plastycy, muzycy, dziennikarze zasłużyli swą pracą na społeczne uznanie".*

Program WK FJN w Lublinie podkreśla, że głębokie przeobrażenia dokonały się w dziedzinie oświaty, kultury, nauki i ochrony zdrowia. Liczba domów kultury wzrosła z 13 do 22 (jak nowoczesnych domów! Pojedźmy chociażby do Chełma Lubelskiego: niejedno miasto wojewódzkie chciałoby taki dom posiadać); świetlic — z 419 do 950, bibliotek powszechnych — z 395 do 517, kin państwowych — z 170 do 2336. Zbudowano ośrodek telewizyjny w Bożym Darze, rozgłośnię Polskiego Radia w Lublinie, uruchomiono 280 klubów Ruchu i 85 klubów Rolnika oraz ponad 1250 przyszkolnych ośrodków pracy kulturalno-oświatowej.

Byłem niedawno na spotkaniu w klubie Rolnika w Firleju, małej miejscowości w powiecie lubartowskim. Mimo ulewnego deszczu na sali zgromadziło się kilkadziesiąt osób. Po prelekcji zadawano mi wiele pytań obejmujących olbrzymi wachlarz zagadnień. Sprawa agresji amerykańskiej w Wietnamie, problemy spółdzielczości produkcyjnej, współczesna poezja, Ziemie Zachodnie, aktywizacja miast i osiedli, stosunki francusko-radzieckie, międzynarodowy ruch robotniczy... Dobrze musiałem się „nagimnastykować", aby zadowolić (?) słuchaczy. Później w „rozmowach kuluarowych" przyznoszono mi wiersze do oceny...

Można powiedzieć: nic nadzwyczajnego. Sucha relacja nie odda jednak nastroju sali, tego zainteresowania, przejęcia się sprawami wielkiej i małej polityki.

Okres przedwyborczy szczególnie zaktywizował środowiska wiejskie. Trzeba było śledzić dyskusje na zebraniach, niekiedy bardzo burzliwych, ciągnących się godzinami, kiedy ustalano listy kandydatów na radnych gromadzkich rad narodowych. Kryterium było właściwie jedno i wiele: jak pracuje, jak gospodarzy na roli, jak udziela się w pracy społecznej, jaki ma stosunek do innych? Jeśli w tych rzeczowych konfrontacjach członkowie partii, kandydaci na radnych, wypadli zadowalająco, jeśli bezpartyjni chłopi odnosili się do nich z szacunkiem i uznaniem, można mówić o okrzepnięciu naszych wiejskich organizacji partyjnych, o wzroście autorytetu partii i jej członków. I czy nie ma swoistej wymowy fakt, że właśnie na wsi najlepiej przebiegała akcja sprawdzania spisów wyborczych?

* * *

W przemówieniu pierwszomajowym I sekretarz KC PZPR, Władysław Gomułka, powiedział:

„Nadchodzące wybory to akt polityczny narodu o wielkim znaczeniu. Wszyscy uprawnieni do głosowania powinni w dniu 30 maja znaleźć się u urn wyborczych, aby wybrać swych przedstawicieli do Sejmu i rad narodowych, aby zadokumentować przed światem, wykazać przyjaciołom i wrogom Polski Ludowej, szczególnie tym wrogom, którzy ciągle podnoszą roszczenia do naszych ziem nad Odrą i Nysą, że naród polski zwartym frontem wypowiada się za władzą ludową, za socjalizmem, za polityką naszej partii, za nienaruszalnością naszych granic zachodnich, za programem Frontu Jedności Narodu".

TWÓRCZA SESJA

OSTATNIĄ z licznych uroczystości, jakie odbyły się w Lublinie w związku z XX-leciem PRL, była sesja poświęcona nowej literaturze. Sesję przygotowało Naukowe Koło Polonistów UMCS w Lublinie, którego założycielem i kuratorem jest prof. dr Janina Garbaczewska.

Na zaproszenie inicjatora spotkania oraz współorganizatorów — Rady Uczelnianej ZMS i ZSP UMCS przyjechali przedstawiciele kół naukowych i seminarii wszystkich sekcji filologii polskiej w kraju, tj: UJ, UW, UŁ, Uniwersytetu w Poznaniu, WSP w Krakowie, Katowicach i Gdańsku. Na przedstawicieli obrad złożyły się referaty nadesłane z ośmiu ośrodków. Były to prace: Piotra Matywieckiego — „Liryka Tymoteusza Karpowicza" — UW, Krzysztofa Metraka — „Stanisław Grochowiak — biografia twórcza" — UW, Rocha Sulima — „Tak zwana „poezja koszmarna" — w kontekście kultury i literatury Polski Ludowej" — UW, Marka Kazaneckiego — „Poezja Zbigniewa Herberta" — UJ, Krystyny Gawel — „Imiona władzy" J. Broszkiewicza jako dramat o polityce" — WSP Kraków, Stanisława Kałuzińskiego — „Struktura sytuacji dramatycznych w dramatach Sławomira Mrożka" — WSP Kraków, Jerzego Cieszkowskiego — „Tendencje barokowe w poezji Grochowiaka" — KUL i Sławomira Świontka — „Ogólne zasady funkcjonowania prozy „Sposób bycia" Kazimierza Brandysa jako partytury teatralnej" — UŁ. Lubelskie koła polonistów prezentowały referaty inauguracyjny Marii Ballod — „Debiuty poetyckie lat powojennych" i zamykający obrady Bogusława Słodkowskiego — „Rękonstrukcja teatru Tadeusza Różewicza".

Referaty miały charakter wybitnie analityczny tak pod względem ideowym, jak formalnym. Głosy w dyskusji stanowiły nie tylko uzupełnienie lub poprawki do odczytanych referatów, były również propozycją najbardziej twórczych metod i badań nad literaturą. Zarówno autorzy referatów, jak i najaktywniejsi uczestnicy cennej dla przyszłych badań literackich dyskusji zostali nagrodzeni książkowymi upominkami. Jury zaś, któremu przewodniczyła prof. dr Janina Garbaczewska, a w skład wchodzili doc. dr Maria Grzędzielska, dr T. Bujnicki z UJ, dr J. Rohoziński z UW, Stanisław Sawicki z KUL, mgr St. Mrażek z WSP Kraków, ustanowiło 3 wyróżnienia dla najlepszych prac. Pierwsze miejsce zajął referat Krzysztofa Metraka UW, drugie — Marka Kazaneckiego UJ, trzecie — Jerzego Cieszkowskiego KUL. Nagrody (pieniężne i upominki) ufundowane zostały przez ZSP i Kuratora Lubelskiego Okręgu Szkolnego dr Edwarda Zachajkiewicza. Wyróżnieni w dyskusji zostali: E. Kościukiewicz UMCS, M. Masłowski UW, K. Miklaszewski UJ i St. Nyczaj WSP Opole.

(b)

PRZYPOMINAMY!

Konkurs dla młodzieży szkolnej i akademickiej

REDAKCJA „Kameny" i Wydział Kultury Prezydium WRN w Lublinie organizują dwa konkursy:

PIERWSZY: dla młodzieży szkolnej czterech województw — białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego;

DRUGI: dla studentów lubelskich uczelni.

Pierwszy konkurs — dla młodzieży szkolnej — polega na napisaniu pracy pt. „MOJE MIASTO". Forma dowolna. Chodzi o reportaż, artykuł lub wiersz, w którym znalazłyby wyraz przemiany, jakie się dokonały w ostatnich latach w danym mieście czy miasteczku. Rozmiar pracy: do 5 stron maszynopisu (30 wierszy na stronie).

Drugi konkurs — dla studentów — obejmuje recenzję teatralną ze sztuki „Ktoś nowy" Domańskiego, wystawionej przez Teatr im. J. Osterwy. Rozmiar recenzji — do 4 stron maszynopisu.

Prace należy nadsyłać w 3 egzemplarzach pod adresem redakcji „Kameny" (Lublin, ul. Graniczna 7) z dopiskiem na kopercie „Praca konkursowa", do dnia 10 czerwca 1965 roku.

Zwycięzcy konkursu otrzymają nagrody rzeczowe w postaci radioodbiorników, aparatów fotograficznych i zegarków (szczegółowy wykaz nagród podamy w jednym z następnych numerów).

Najlepsze prace będą ponadto publikowane w „Kamenie" i honorowane według normalnych stawek redakcyjnych.

W skład sądu konkursowego wchodzą: kierownik Wydziału Kultury Prez. WRN w Lublinie ZBIGNIEW FRĄC, prezes lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich w Lublinie ZYGMUNT MIKULSKI i redaktor naczelny „Kameny" MAREK ADAM JAWORSKI.

Przegląd Prasy

PUŁAWY były jednym z najmodniejszych tematów ostatnich lat, przykładem wielkiej kariery niewielkiego miasta. Do niedawna miasto przeszłości, obecnie miasto przyszłości. Zawdzięczają to naturalnie budowanemu Kombinatowi Azotowemu, który zmieni rangę tego miasta i całego powiatu. Zobaczmy, jak perspektywy jego są widziane tu, na miejscu. „ECHO PUŁAWSKIE" — interesujący dwutygodnik wydawany przez Komitet Zakładowy PZPR przy Azotach, publikuje wywiad z ZYGMUNTEM ZARYCHTĄ, I sekretarzem Komitetu Powiatowego PZPR, zatytułowany *„Awans Ziemi Puławskiej"*. Na czym ten awans polega? Powiat puławski zmienił zasadniczo swoje oblicze: z rolniczego stał się powiatem rolniczo - przemysłowym, by dalej przekształcać się w całkowicie przemysłowy. Fakt ten rzutuje na życie mieszkańców Ziemi Puławskiej. Nastąpił wzrost zatrudnienia i dochodów ludności.

Wyniki gospodarcze lat ostatnich, mimo pewnych braków, są osiągane na odpowiednim poziomie, zadania wykonano z nadwyżką. Czym powiat może się chlubić — to budową dróg lokalnych. W latach 1961—1964 wybudowano przeszło 60 kilometrów dróg, w tym prawie 50 kilometrów czynem społecznym.

Rozwój nowych Puław pogorszył jednak i tak trudną sytuację mieszkaniową. Wskaźniki zagęszczenia na jedną izbę już poprzednio były powyżej średniej krajowej. Oto co mówi na ten temat Z. Zarychta:

„Według zakładanych pierwotnych planów miasto otrzymało w tym czasie o 370 izb za mało, nie licząc nie zaspokojonych potrzeb Zakładów Azotowych. Głód mieszkaniowy istnieje nadal, o czym świadczy chociażby fakt, że w MRN leży ponad 800 wniosków mieszkaniowych, które dotychczas nie są ujęte w planie przydziału.

Trudna sytuacja mieszkaniowa spowodowana jest niedostateczną organizacją budownictwa w mieście. Dowodem tego jest niewykorzystanie 38 mln złotych na inwestycje towarzyszące, z tego około 30 mln na budownictwo mieszkaniowe".

Dlatego w nowym programie wyborczym budownictwo mieszkaniowe jest sprawą pierwszoplanową. W nowej pięciolatce spłyną bowiem do Puław nowe, olbrzymie środki inwestycyjne, przeznaczone na rozwój miasta.

„W jaki sposób i czy właściwie środki te zostaną wykorzystane w ekonomice i gospodarce Puław — uzależnione będzie od inwencji władz miejskich, instytucji oraz przedsiębiorstw mających je odpowiednio „przerobić".

Przedwyborcze obrachunki, dokonywane w obliczu wyborów, zawierają nie tylko pozycje dodatnie, z których możemy być dumni. Znajdują się tam i sprawy do załatwienia na przyszłość. Pisze o tym w kieleckim „SŁOWIE LUDU" W. KROGULEC w artykule *„Obojętność dużo kosztuje"*. Pisze on, że *„nie od rzeczy będzie mówić także o tych, którzy nie tylko nie pomagali nam tworzyć nowych wartości, ale wręcz przeciwnie, dbali tylko o swój interes i po prostu kradli społeczny majątek"*.

Na przykładzie wiejskiej spółdzielczości zaopatrzenia i zbytu w województwie kieleckim wykazuje, że w ubiegłym roku było tam przeszło 11 milionów zł mank i niedoborów. Można to przeliczyć na 40 pięknych, wolno stojących sklepów.

Autor postuluje, aby przy przyjmowaniu ludzi do pracy na stanowiska materialnie odpowiedzialne decydujące znaczenie miał samorząd. To zresztą sprawa osobna.

„Ale dyskutując z kandydatem na posła czy radnego o naszym dorobku i zamierzeniach na przyszłość — czujmy się gospodarzami tego wszystkiego, co nas otacza. Wytwórzmy atmosferę potępienia wobec tych, którzy nas okradają z nowych szkół, sklepów, hektarów zmeliorowanych łąk".

Budownictwo mieszkaniowe stanowi istotny punkt nowego programu wyborczego. Z tą sprawą koresponduje artykuł A. MAŁACHOWSKIEGO pt. *„Architektura i życie"* zamieszczony w „MAGAZYNIE NIEDZIELNYM SŁOWA LUDU" Przez artykuł ten przewijają się prawie wszystkie sprawy, jakimi musi się zajmować architekt powiatowy. W Polsce corocznie zabudowuje się obszar równy powierzchni przeciętnego powiatu. W ubiegłym roku w Kieleckiem wybudowano w miastach za 1265 milionów złotych. W tym samym czasie we wsiach kieleckich wybudowano bez wielkiego rozgłosu prawie za tyle samo.

„Lecz właśnie tu otwiera się bezmiar problemów. Indywidualne rozproszone budownictwo wiejskie jest obecnie jednym z największych marnotrawców materiałów. W mieście zaczynamy rachować każdą cegłę, ważyć każdy kilogram zbrojenia i w ogóle silimy się na nowe koncepcje oszczędnego budownictwa. Można by zaryzykować, że zaoszczędzony w ten sposób materiał pochłania rozrzutne budownictwo wiejskie. Gdyby u indywidualnych, wiejskich ciułaczy cementu, żelaza, wapna istniało pojęcie zapasów ponadnormatywnych, okazałoby się, że corocznie na kieleckiej wsi leżą bezużytecznie, czekając na rozpoczęcie budowy materiały wartości okrągło 1 miliarda złotych".

To tylko jedna z bogatego zespołu spraw, poruszonych w artykule Małachowskiego. Należy bowiem istotnie wiele w budownictwie zmienić, żeby do budowy obory nie zużywać żelaza, którego starczyłoby na siedem takich obiektów, albo robić pod dom fundament, na którym można by stawiać wysokościowiec. Nie mówiąc już o sprawach ważniejszych i istotniejszych.

T. K.

Kandydat Ziemi Lubelskiej

Przed wyborami do Sejmu

Generał „Grzegorz"

Była noc. Chłodne, majowe niebo demonstrowało całe bogactwo gwiezdnego skarbca. Szliśmy wyludnionymi o tej porze ulicami; rozmawiając o aktualnych sprawach, raz po raz wracaliśmy wspomnieniami do odległych już lat.

— *Nie lubiliśmy takiego rozgwieżdżonego nieba, gdy chodziliśmy z oddziałami nocą* — odezwał się generał w zadumie.

Przyglądam się przez chwilę tak dobrze przecież znanej mi sylwetce rozmówcy. Czy bardzo zmienił się generał od tamtych czasów, gdy partyzanckim marszem przemierzał Lubelszczyznę?

W czerwcu, dokładnie 17 czerwca, ukończył 50 lat. Partyzancką brodę dawno już zgolił. Przypominają się znajome zdjęcia „Grzegorza". Ależ to szmat czasu minął...

„Paryż" i „Moskwa"

W partyzanckiej dokumentacji Obwodu Lubelskiego AL, którego był dowódcą — Ostrów Lubelski nosił kryptonim „Paryż". Może sprawiły to osobiste wspomnienia generała Korczyńskiego z okresu jego działalności w Paryżu, w sekcji polskiej Komunistycznej Partii Francji. Był tam w okresie 1940—1942 kierownikiem partyjnej „techniki", kierownikiem akcji sabotażowych i dywersyjnych na okręg paryski, był redaktorem „Solidarité", organu prasowego sekcji polskiej (na Francję) organizacji komunistycznej działającej pod nazwą „Ludowa Pomoc" W każdym razie z jego to inicjatywy takim właśnie kryptonimem ochrzczono to miasto będące w swoim czasie stolicą partyzancką na Lubelszczyźnie, Drugą zaś stolicą była wieś Rzeczyca zwana — Moskwą (pow. Kraśnik).

Życie zdecydowało, że Grzegorz Korczyński, syn warszawskiego robotnika, rodem z lubartowskiego, wcześnie wszedł do rodziny polskich rewolucjonistów. Sprawił to i fakt, że ojciec Grzegorza był aktywnym rewolucjonistą i fakt, że już we wczesnej młodości zetknął się z działalnością Organizacji Młodzieży Socjalistycznej — „Życie", której w latach 1935—1937 był czynnym członkiem.

A później były dwa lata walk w Hiszpanii, lata, których nie można mierzyć zwykłymi miarami kalendarzowymi. Dwa lata hiszpańskie poprzedzone długą drogą przez pięć zielonych granic — to były lata wielkiej próby hartu młodzieńczego komunizmu w ogniu wojny o wolność ludu hiszpańskiego. Wielkiej próby podjętej dobrowolnie przez dwudziestoletniego mężczyznę, podjętej z wewnętrznego nakazu, z rozumianej i odczuwanej potrzeby internacjonalistycznej solidarności z tymi, którzy walczą o wolność i wyzwolenie społeczne. I tak się hartował charakter przyszłego, sławnego dowódcy polskiej ludowej partyzantki, organizatora walki zbrojnej z ramienia Polskiej Partii Robotniczej.

Zanim jednak Grzegorz Korczyński znalazł się w pamiętnym nie tylko dla niego dniu 16 sierpnia 1942 na Lubelszczyźnie — były deportacje i więzienia na ziemi francuskiej, na tej samej ziemi, na której potem, z chwilą jej okupacji przez hitleryzm, stanął w szeregach francuskiego Ruchu Oporu.

I wreszcie walka o własną ojczyznę, na ziemi swego ojca. Takie określenia, jak na przykład *„działania przeciwko pacyfikacji Zamojszczyzny"*, czy *„bitwa w lasach parczewskich"* weszły na trwałe do historii polskiego czynu zbrojnego w latach drugiej wojny światowej. W tych akcjach i bitwach nie tylko objawiał się talent dowódcy ówczesnego pułkownika Korczyńskiego, w nich ucieleśniała się historia walki Lubelszczyzny o swe wyzwolenie.

Zawsze serdeczny

Zawsze w ruchu, zawsze aktywny, zawsze z ludźmi, wrażliwy, troskliwy, serdeczny i przyjacielski. Oto, jak mówią o nim jego dawni towarzysze broni i ci, którzy ocaleli z walk w Hiszpanii, i ci ze wspólnej niedoli obozów deportacyjnych we Francji, i ci z Paryża i spod paryskich okolic i wreszcie ci najliczniejsi z okolic Lubartowa, Radzynia, Łukowa, Parczewa, Białej Podlaskiej, Kraśnika, Biłgoraja, Zamościa, Tomaszowa Lubelskiego, którzy już po raz trzeci obdarzają go najwyższym zaufaniem, wysuwając kandydaturę tow. „Grzegorza" na posła Ziemi Lubelskiej do Sejmu PRL.

Grzegorz Korczyński jest bardzo częstym, serdecznie witanym i pożądanym gościem na tej ziemi.

— *Te spotkania* — mówi generał — *dają ogromnie wiele satysfakcji. Znam tych ludzi od dawna, a przecież ciągle ich odkrywam. Wzrusza mnie zawsze atmosfera ich zainteresowania i gospodarska dyskusja, świadectwo dużej dojrzałości obywatelskiej. Zawsze bliska mi była Ziemia Lubelska, dlatego też ogromnie raduje każde osiągnięcie, każda śmiała inicjatywa. W czasie wojny, w szeregach partyzanckich, znaczna część moich wyborców biła się jak szatany. Śmiałe i twórcze miewają też inicjatywy i pomysły w gospodarzeniu swym regionem, tak śmiałe, że przysparzają mi największą satysfakcję, gdy potrafię przyczynić się do ich realizacji...*

Jerzy Łańcut

Fot. CAF

Kielce

OBRACHUNKI PRZEDWYBORCZE

Już nie Kleryków...

TADEUSZ BARTOSZ

TEGO lipcowego dnia 23 lipca 1944 roku na podwórzu zagrody Raków w Chańczy ruch był większy niż zwykle. Koło południa spadł ulewny deszcz i wydawać się mogło, że ludzie, którzy tu zbiegli się właśnie, przed ulewą szukali schronienia w starej stodole. A ludzi było tu kilkuset — uzbrojonych i niektórzy — częściowo umundurowani...

Ten dzień przeszedł do historii. W małej kieleckiej wsi Chańcza, na ziemi okupowanej ciągle przez hitlerowców, w dzień zaledwie po chełmskim Manifeście PKWN, odbyło się pierwsze konspiracyjne posiedzenie kieleckiej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Żyją do dziś ludzie, którzy w nim brali udział: Jan Rak, Daniel Pitek, Józef Lipiec, Joanna Rakowa, Cecylia Banasiakowa — wszyscy miejscowi, z Chańczy, do dziś tam mieszkają. Ale tego dnia w Chańczy byli też ludzie, o których dzisiaj w Polsce jest głośno.

Cecylia Banasiakowa do dziś wspomina, jak to Ozga Michalski przepadał za ziemniakami z zsiadłym mlekiem i zawsze, wyręczając gospodynię, sam wykopywał je w polu.

Mówi Jan Rak:

— *W czasie otwarcia sesji kolega nasz, Banasik, wysunął pięciometrowy maszt na wierzchołek stodoły, zawieszając na nim sztandar biało-czerwony. Oprócz tego w stodole znajdował się sztandar wiciowy i orzeł. Dotąd go posiadam!*

— *Sesji przewodniczył Maślanka, sekretarzował Ozga Michalski. Radnych z prawem głosu było 31. Wśród nich: Wójcik, Banasik, Wilhelm Garncarczyk, Aleksander Król, „Bartek" Baryła, Marian Stanik z Ostrowca, Stefan Szymański — „Góral", Franek Kucybała, Stefan Dybowski...*

No i kilkudziesięciu gości, słuchaczy tej niecodziennej sesji, fornali z miejscowych majątków, co zeszli się tutaj słuchać i patrzeć, jak to pod okupanta bokiem tworzy się nowa ludowa, robotnicza i chłopska władza.

W zakamarkach pamięci

Styczeń 1950 roku mroźny był i śnieżny obficie. Kiedy rano stanąłem przed budynkiem dworcowym i popatrzyłem w długi komin pryncypalnej ulicy Sienkiewicza, przyszedł mi na myśl zacny pan Jan Raduski, kiedy tak ślęczał przed budynkiem liżawieckiego dworca i w zadumie liżawieckiego spoglądał na ulicę, w zakamarkach pamięci odgrzebując kształt Łźawca, dawne wspomnienia dni — chwil w nim spędzonych. To przecież Kielce, o których pisał Żeromski, takie Kielce, niewiele odbiegające od wyglądu tamtego, Raduskiego oczami oglądanego Łźawca.

„Walizę ustawiono wreszcie na przednim siedzeniu i drynda ruszyła ku miastu. Pierwsza ulica wjazdowa posiadała te same jamy w bruku, te same do cna zdeptane chodniki, wypięte i spróchniałe parkany..."

„... Zmrok padał i ukrył w sobie Łźawiec od przedmieścia do przedmieścia. W krzywych ulicach i na rynkach płonęła gdzieniegdzie latarnia kopcąc bez ustanku, jakby to stanowiło jedyną jej rozrywkę w trakcie nudnej misji oświetlania dziur łźawieckich..."

Wypisz, wymaluj: ten sam Łźawiec! Jakże podobne były owe zimowe Kielce 1950 roku do przedstawiających się oczom Raduskiego, jakże niewiele w nich się zmieniło!

Gazetowa robota szybko pozwoliła mi poznać Kielce i Kielecczyznę, jej niezwykle ciekawe i różnorodne problemy, życie i pracę ludzi. Wrosłem jakoś w Kielce, w Radom i Ostrowiec, w Skarżysko i Starachowice. Niejedne też widziałem tu wybory do rad narodowych.

Pańskie oko...

Często można na ulicach Kielc spotkać Jerzego Szmajdla, przewodniczącego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Ten wysoki, szczupły mężczyzna, ma znany już nam kielczanom, zwyczaj odbywania takich właśnie samotnych spacerów po różnych ulicach i placach. Znajomość miasta, jego spraw z „prezydenckiego" gabinetu, gdzie na zawołanie zjawiają się kierownicy wydziałów, wszyscy odpowiedzialni pracownicy municypalnych instytucji — to jedna rzecz. A całkowicie inną sprawą jest stałe, codzienne konfrontowanie tej wiedzy własnymi spojrzeniem, dotknięciem. Ileż to razy dziwił się i w głowę zachodził kierownik komunalnej gospodarki: skąd niby przewodniczący wie o tym, że na Starowarszawskim Przedmieściu w bruku ulicznym utworzyła się potężna wyrwa, którą, ale to już, trzeba naprawić...

A to są właśnie wyniki owych spacerów, wyznawania zawsze dobrej zasady o pańskim oku...

Dwadzieścia tysięcy

W Kieleckiem na listy wyborcze Frontu Jedności Narodu wpisanych zostało ponad dwadzieścia tysięcy kandydatów. To duża armia. Ci ludzie żyją wśród nas, znamy ich, spotykamy często w drodze do pracy, widzimy na spacerze, w teatrze, w kawiarni...

Na listach wyborczych znajduje się 8 500 członków PZPR, 4 000 członków ZSL, 230 — SD i — zwróćcie uwagę — 6 500 bezpartyjnych legitymujących się ogromnym zaangażowaniem w służbie społecznej, w działalności zawodowej, kulturalnej.

Przeglądałem np. dość szczegółowo listę kandydatów do Powiatowej Ra-

(Dokończenie na str. 11)

MARIA BECHCZYC - RUDNICKA

Filharmonia jubilatem

UZBIEGU trzech śródmiejskich ulic Lublina, które miasto dedykowało Narutowiczowi, Pstrowskiemu i Osterwie, stoi od roku 1886 gmach dość okazały, zbudowany ze składek lublinian według gustu owych czasów — z pilastrami, konsolami, z mnóstwem gzymsów, wykruszających się po trosze na głowy przechodniów. Ten to wysłużony gmach nabrał dziś nie byle jakiej dostojności dziejowej, w nim bowiem rozpoczęło się najwcześniej życie teatralne i muzyczne odrodzonej Polski. Pierwszy spektakl pierwszego jej teatru dramatycznego odbył się już w dniu 12 sierpnia 1944 roku, a niewiele później pewna grupa działaczy kulturalnych zakrzątnęła się koło wskrzeszenia Lubelskiego Towarzystwa Muzycznego, którego praca, w szczuplejszych niż teatralne pomieszczeniach budynku, wychodzących na dawną ulicę Kapucyńską, datuje się od roku 1898. Owymi wskrzesicielami byli przede wszystkim: wiolonczelista Ludwik Chełmiński, chórmistrz Tadeusz Chyła, adwokat Aleksander Czapski, nauczyciel muzyki Lucjan Ksionek, związany z chórem „Echo" Franciszek Litwiński i Stanisława Pliszczyńska, obecnie pracująca w Liceum Sztuk Plastycznych. Wzięli oni na swe barki liczne kłopoty w momencie, kiedy trzeba było nie tylko odszukiwać rozproszonych muzyków, ale i odzyskać poniewierające się w różnych zakamarkach instrumenty, a nawet zdobyć bodaj paręset krzeseł na miejsce wyszabrowanych przez Niemców.

24 września 44 r. pozostanie w annałach Towarzystwa Muzycznego jako dzień pierwszego powojennego koncertu (wystąpił na nim chór „Echo"). Jeszcze przedtem zainaugurowano normalny rok szkolny Instytutu Muzycznego, agendy Towarzystwa.

Dalszy impuls życiu muzycznemu Lublina nadała korzystna okoliczność, że kierownikiem nowo utworzonego Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki został warszawski muzykolog i bibliofil Edward Wrocki, który, wraz z niżej podpisaną i referentem Wydziału, plastykiem Janem Widmańskim, zorganizował w estetycznej, niebiesko-białej sali Towarzystwa Muzycznego cykl koncertów na wielkomiejskim poziomie, z udziałem takich solistów, jak Grażyna Bacewiczówna, Aleksander Wielhorski, Stefan Rachoń, Ignacy Dygas, Krystyna Szczepańska, Tomasz Dąbrowski i in. Ale, co znacznie ważniejsze — staraniem Wydziału powstała niebawem dwudziestoosobowa Lubelska Orkiestra Kameralna pod kierownictwem utalentowanego dyrygenta warszawskiego, Zygmunta Szczepańskiego. 10 lutego 45 r. miłośnicy muzyki oklaskiwali już na pierwszym koncercie kameralnym wykonawców dzieł Vivaldiego, Jana Sebastiana Bacha, Mozarta.

I właśnie ta Lubelska Orkiestra Kameralna stała się zalążkiem placówki obchodzącej obecnie swój jubileusz.

Takie było w tamtych niezapomnianych dniach tempo kulturotwórcze, że minęło zaledwie trzy miesiące, a już Orkiestra Kameralna rozrosła się w Orkiestrę Symfoniczną Towarzystwa Muzycznego, która dała 18 maja pierwszy symfoniczny koncert Polski Ludowej. Mija jeszcze jakichś osiem miesięcy i oto dzięki zabiegom znowuż J. Widmańskiego, podówczas kierownika Wydziału Kultury i Oświaty przy MRN, władze miejskie, z prezydentem dr Stanisławem Krzykałą na czele, zabezpieczają w pewnym stopniu byt orkiestrze, która otrzymuje w tym okresie miano Miejskiej Orkiestry Symfonicznej.

(Dokończenie na str. 10)

Spotkanie w Przemyślu

Humor, zabawa, poetycka zaduma — tak w lapidarnym ujęciu można scharakteryzować zaprezentowany repertuar na III Spotkaniu Teatrów Lalkowych Polski Wschodniej, który odbył się w Przemyślu. Dwa bowiem zespoły zaprezentowały przedstawienia dla najmłodszych widzów w wieku przedszkolnym oraz dwa dla dzieci starszych, a nawet młodzieży.

Państwowy Teatr Lalek „Swierszcz" w Białymstoku wystawił „Misie Ptysie" Zbigniewa Poprawskiego. Scenografię opracowała Gizela Bachtin-Karłowska, a muzykę skomponował Franciszek Wasikowski. Jest to niezwykle dowcipna farsa, której bohaterami są dwa małe niedźwiadki. Inscenizator i reżyser, Krzysztof Rau, zrobił urocze przedstawienie, pełne dobrej zabawy i humoru. Dobra gra Krystyny Matuszewskiej (Ptyś Mały) i Feliksy Piechowskiej (Ptyś Nieco Większy) sprawiły, że misie były wyrazistymi postaciami, które na długo pozostaną w pamięci dzieci.

Natomiast Państwowy Teatr Lalki i Aktora „Kubuś" w Kielcach przygotował „Awanturę w teatrze lalek" E. Borysowa. Aczkolwiek przedstawienie podobało się dzieciom, to jednak nie było ono konsekwentne w koncepcji inscenizacyjnej.

Zupełnie odmienne w stylu są dwie pozostałe pozycje repertuaru przemyskich spotkań. Rzeszowski „Kacperek" przygotował sztukę w trzech aktach dla dzieci starszych pt. „Złoto króla Megamona" — Jerzego Kaliby. Autor na podstawie znanego mitu o greckim królu Frygii, Midasie napisał interesującą, przystosowaną do potrzeb teatru lalkowego, opowieść ludową o tragicznym człowieku, o jego chciwości i samotności. Dobry tekst, mała obsada aktorska to zalety wspomnianej sztuki, która daje duże pole do popisu aktorom, reżyserowi i scenografowi. Dlatego z żalem trzeba powiedzieć, że rzeszowskie widowisko nie zadowoliło w pełni, że cały zespół jedynie połowicznie wywiązał się z dość trudnego zadania, że ambicjom nie dorównały środki realizacji.

Wreszcie Państwowy Teatr Lalki i Aktora w Lublinie zaprezentował „Płaszcz" według opowiadania Mikołaja Gogola, w adaptacji Juliana Tuwima. O „Płaszczu" pisaliśmy już w „Kamenie".

Po przedstawieniach uczestnicy imprezy spotkali się w sali klubowej PDK. Słuchano tutaj referatów, prowadzono dyskusje.

A więc kolejne spotkanie lalkarzy upłynęło w atmosferze koleżeńskiej wymiany doświadczeń oraz nauki. Słowem, było pożyteczne i pracowite. W przyszłym roku IV Spotkania odbędą się w Białymstoku. Do zobaczenia!

A. P.

RYSZARD KORNACKI

Impresja pierwsza

Nad smutną powieką
zielonego stawu zstępują
żaby na palcach.
Szumi rozdzwonienie barw
od nenufarów aż do bieli
ciszy
zawieszonej na skrzydłach
deszczowych jaskółek.
Obok
konik polny
stroi swój wiersz
skrzypcowy
na wieczór
który runie za chwilę na drzewa.

Międzyrzec Podlaski

Śródmieście Ostrowca Świętokrzyskiego

Pierwszy projekt i... nie ostatni

LUBLIN nie znudził się jeszcze sukcesami swoich architektów, ponieważ dość rzadko uczestniczą oni w konkursach krajowych zajęci robotą na własnym, dość jeszcze zagraconym podwórku. Z tym większą satysfakcją odnotowujemy przyznanie dwom młodym projektantom z Miejskiej Pracowni Urbanistycznej — mgr inż. arch.

W. Pięciński

O. Olszewski

Olgierdowi Olszewskiemu i inż. Wacławowi Pięcińskiemu — wyróżnienia I stopnia w Ogólnopolskim Konkursie SARP-u na zabudowę śródmieścia i centrum Ostrowca Świętokrzyskiego. Dodajmy, że w konkursie uczestniczyło wiele renomowanych zespołów z całej Polski, które niejednokrotnie zwyciężały w konkursach krajowych i zagranicznych. Ponieważ na dodatek był to pierwszy konkurs, w którym brali udział wyróżnieni, przeprowadziliśmy z nimi rozmowę.

Kamena: Co było przyczyną wysłania projektu na konkurs?

Olszewski: Chcieliśmy sprawdzić nasze możliwości w silnej, jak przypuszczaliśmy, konkurencji krajowej. A poza tym warto było pogłębić nieco doświadczenie przed rozpoczęciem projektowania śródmieścia Lublina...

Pięciński: ...nad którym opiekę sprawuje mój kolega — rejonowy urbanista...

Olszewski: ...a inżynier Pięciński opracuje komunikację tegoż śródmieścia.

Kamena: O ile wiemy, mieliście już przed tym poważne przygotowanie do tematu konkursowego, ponieważ p. Olszewski specjalizował się w tej problematyce jeszcze na studiach w Politechnice Gdańskiej, a p. Pięciński jest współautorem zatwierdzonego projektu ośrodka dzielnicowego Rury w Lublinie...

Olszewski: No tak, ale konkursy mają swoją specyfikę, zmuszają do szybkich decyzji i orientacji, bo teren zna się dość pobieżnie, a głównym zadaniem takich konkursów jest rozstrzygnięcie spraw podstawowych: lokalizacji, układu funkcjonalnego i przestrzennego itd.

Kamena: A więc są to projekty niejako studyjne, służące do późniejszego opracowania szczegółowego?

Pięciński: Tak i w związku z tym dostaliśmy później zaproszenie do Ostrowca celem wzięcia udziału w dyskusji nad nagrodzonymi pracami, dyskusji z udziałem mieszkańców i sądu konkursowego, któremu przewodniczył znany architekt Skibniewski. W rezultacie przewodniczący Prezydium MRN zaproponował nagrodzonym zespołom, nam także, współpracę z miejscową Pracownią Urbanistyczną w celu opracowania szczegółowego planu śródmieścia i centrum miasta.

Kamena: Przy końcu kwietnia odbyła się w Łodzi ogólnopolska konferencja „Metody kształtowania centrum w planach miast", w której brali udział wybitni polscy specjaliści... Problematyka pokrewna waszym zainteresowaniom...

Olszewski: My także byliśmy w Łodzi i przy tej okazji usłyszeliśmy od wiceministra budownictwa, Pietrusiewicza, i od Skibniewskiego kilka słów o aktywizacji prowincjonalnych środowisk architektów, które do tej pory rzadko uczestniczyły w konkursach... Wymieniono Bydgoszcz, Białystok i Lublin.

Kamena: Te przyjemne dla nas wszystkich słowa dotyczyły w poważnej mierze także i waszego projektu. A teraz coś o planach na przyszłość...

Pięciński: Praca nad teorią i praktyką projektowania śródmieść i centrów miast i ewentualne konkursy. Problematyka „śródmieście" jest szczególnie interesująca, może dlatego, ponieważ do dziś słabo opracowana — u nas i za granicą.

Olszewski: Przystępując do konkretnego projektu śródmieścia i centrum Lublina, chciałbym zaproponować, aby powstawał on w ciągłym kontakcie ze społeczeństwem.

Rozmowę przeprowadził: IJK

Rezerwy rozrywki

Prozę państwa

Kawiarnia to synonim paru zjawisk. Mówi się np. o kawiarni jako amplifikatorni plotki towarzyskiej. Używa się miana kawiarni w znaczeniu kulisów wydarzeń publicznych. Uchodzi też kawiarnia za coś w rodzaju czarnej giełdy artystycznej, na której sądy ferowane są według prywatnych sympatii, a nie obiektywnych kryteriów. To wszystko w kontekście wyrażenia „kawiarniany snob", czyli w wiadomej intencji kwalifikującej.

Warto jednak spojrzeć na rzecz bez uprzedzenia choćby po to, by ujemne wnioski nabrały tym zasadniejszej mocy logicznej. Przede wszystkim widać, że kawiarnie, jakie są, pękają od publiczności. Uzyskanie stolika dostępne jest tam jedynie tym najwcześniejszym, przybywającym w godzinach przedpołudniowych, później rzecz nabiera cech jakiejś swoistej reglamentacji przeprowadzanej „we własnym zakresie" przez samych zainteresowanych. Po wtóre widać, że do kawiarni nie przychodzą sami plotkarze, bookmacherzy, czy krytycy z majchrami, ale ludzie — gdyby nie ta kawiarniana słabość — całkiem normalni.

Tu właśnie pytanie: po co? Gdyby chcieli pozbawić kogoś ostatniej suchej nitki, lub utworzyć towarzysko-artystyczną camorrę, sens ich poczynań, aczkolwiek ujemny moralnie, miałby uzasadnienie praktyczne. Kiedy jednak nie wszystkim podobne intencje można przypisać, co jest tym kawiarnianym magnesem przyciągającym tak wiele osób?

Dla mnie osobiście — psychologiczna zagadka. Jak również zagadka metodologiczna. Potrafię jako tako uczestniczyć w rozmowie na temat ostatniego teatralnego przedstawienia, mógłbym może wyłuszczyć swoje poglądy w przedmiocie celowości bytowania na ziemskim padole, ewentualnie dostosowałbym się do propozycji wymiany zdań o efektach świetlnych lubelskiej fontanny, ale zasiadać do rozmowy, której charakter i zakres ma być z reguły nieokreślony, to tyle, co zaczynać grę : nie wiedzieć jaką. Dopiero później ma wyniknąć czy to domino, czy pig-pong.

Rozumiem potrzebę kontaktów również w swobodnej pogawędce. Ale i w tych okolicznościach chodzi chyba o jakieś konfrontacje, wymiany zdań, sądów interesujących zawartością intelektualną, czy dowcipem. Tymczasem nic takiego nie widać. W dodatku zagra orkiestra i rozmowy w dalszym ciągu raczą się banałami forsując uciążliwą sytuację akustyczną z energią godną kibicowania w sporcie. Zagadka.

Trochę lepiej, choć nie całkiem — w zbliżonych do kawiarni klubach. Tam nie sama drętwota pod pozorami rozrywki, bo i rozrywka, aczkolwiek „z nachyleniem" ku drętwocie. Ale znów ta za mała stawka na spontaniczność, dobrze rozumianą swobodę, towarzyską inwencję. Plan imprez bywa z reguły „napięty", że dla byle dodatkowej propozycji szukają ósmego dnia tygodnia, a w praktyce poza „wzmocnioną kawą" rzadko co widać. Czy nie warto by np. urządzić czegoś w rodzaju „otwartej estrady"? Po prostu kto z czym chce, w danej chwili występuje publicznie. Nie odkrywcza to, ale chyba korzystna propozycja. Początkowo może się wydać niebezpieczna, ale przecież niektóre zachowania się w tych środowiskach i tak przekraczają granice „kameralności" a publiczność klubowa zwykle dobrana jest według jakiegoś jednego klucza. Masz wisieć nad szklanką czarnej? Rzuć choćby tych pięć dowcipów, ale wszystkim. Przynajmniej nie będą jęczeć, że ryk przy twoim stoliku przeszkadza im spać Uśmieją się również.

Socjologicznie można widzieć ewolucję kawiarni w kierunku klubu. Coś takiego mimo trwałego jeszcze żywota kawiarni chyba się rysuje. Ale nie chodzi o proroctwa. Chodzi o sensowniejsze użytkowanie wolnego czasu również dla rozrywki. Po prostu po to, żeby jej jak najwięcej w wolnym czasie zmieścić. Bo i tu są nie wykorzystane rezerwy.

ZYGMUNT MIKULSKI

Z TWÓRCZOŚCI POETÓW LUDOWYCH

MICHAŁ BASSA

Chciałbym

I ja kiedyś, jak dzisiaj Broniewski,
Tak samo umrę...
Nie chcę, by pogrzeb mój był
królewski,
Lecz żebym choć miał na gwoździe
i trumnę.

Nie marzę o cudnym pogrzebie,
Bom nań nie zasłużył..
Ale żebym usiadł gdzieś w zakątku
w niebie,

W ciszy, w spokoju,
Aby się czas nie dłużył,
Bym znalazł gdzieś niebiańskie
zacisze,

Bym miał czas i pisał
nieskończenie,
A co tam zobaczę i usłyszę —
Poezją przesłał na ziemię.

MICHAŁ BASSA z Tarczka, pow. Iłża, woj. kieleckie, urodził się w r. 1912. Od lat przedwojennych czynny działacz społeczny i polityczny. Pierwsze utwory zaczął układać w partyzantce.

STANISŁAW BUCZYŃSKI

1000 lat

Zamki w ruinach, dęby w próchnie,
W gruzy zwalony ogrom miast...
Olbrzymem przeszedł dziesięć
wieków
Maleńki polski Piast...

Pomniki legły, spiże starte,
Orły sfrunęły z gniazd,
Tysiącem lat znad Gopła idzie
Razem z Rzepichą — Piast...

Na przekór wszystkim,
chcą czy nie chcą,
Czy burza huczy, wali grom,
Na podwalinach z serc piastowskich
Piastowy wyrósł D O M...

STANISŁAW BUCZYŃSKI z Hrubieszowa urodził się w r. 1912. Przed wojną od r. 1929 publikował na łamach postępowej prasy około 1000 wierszy. Po wyzwoleniu wiersze jego zamieszczane były m. in. we „Wsi Tworzącej" w r. 1962, zaś w rok później ukazał się jego samodzielny tomik pt. „Maki".

STANISŁAW HARLA

Piórem

(Stanisławowi Wyspiańskiemu do wieńca)

Maszeruję w gęsty las,
Wszystko mi się kłania w pas,
Widok ten uroczy
Pieści moje oczy,
Nie wiem nawet, który raz...

Mam przy sobie jedno z piór,
A że idę w ciemny bór,
Więc go ściskam w dłoni
I ono mnie broni,
Nie potrzebny żaden sznur...

Macham piórem w tę i w tę,
Wszystkie duchy czarne, złe
Odchodzą na boki,
Albo w nurt głęboki,
Ja na odlew piórem tnę...

Znam manowce wszystkich dróg,
Nie straszny mi żaden róg,
Ja pióro do ręki
I w te groźne szczęki,
W mrok zapada podły wróg...

Szeptem mówi stary las,
A pod nogi wchodzi głaz,
Natychmiast bez trwogi,
Usuwam go z drogi,
Nie wiem nawet, który raz...

STANISŁAW HARLA, rolnik z Zaborza, pow. Mielec, woj. rzeszowskie, urodził się w r. 1912, pisał i publikował już przed wojną, w r. 1934 uczestniczył w Zjeździe Literatów Ludowych w Krakowie.

SEWERYN SKULSKI

Ziemi Lubelskiej

Choć tutaj jest mi dobrze i mój sen spełniony,
O wolności i ziemi i o domu własnym,
Lecz me serce ucieka tam, w lubelskie strony,
Tam, gdzie kiedyś stał domek nieduży i ciasny.

Gdzie się kiedyś bawiłem swoją życia wiosną
I gdzie nieraz o głodzie trzeba było zasnąć;
Ale wiem dziś, że i tam nowe domy rosną
I że bracia tam orzą swoją ziemię własną.

O, ty ziemio słoneczna, droga Lubelszczyzno,
Jakżem dumny jest z tego, żem jest twoim synem,
Któżby cię nie wysławiał, piękna ci nie przyznał,
Kto zna twe urodzajne wzgórza i niziny.

Piękna ziemia nad Nilem, piękna nad Hudsonem,
Lecz gdy chodzi o wybór, nie robię wyboru,
Najpiękniejsza jest ziemia mej rodzinnej strony,
Tam nad Huczwą, nad Wieprzem, wśród szumiących borów.

Tęsknię, ziemio, do ciebie przez swe życie całe,
Ja kocham twój lud prosty, jego pracę twórczą;
Ja kocham cię, Łaszczowie, choć byłeś tak mały,
Ale taki przytulny, jak gniazdko jaskółcze.

Choć nie miałem tam chleba, chociaż byłem bosy,
Odszedłem cię ze łzami o kiju tułaczym,
Ale kocham cię, ziemio, mojej pieśni głosem,
Boś dziś szczodra, boś matką, wszystkich chlebem raczysz.

Jam niezdolny ci uczuć moich wszystkich wyznać.
Jesteś gwiazdą najmilszą — jedną w drodze mlecznej,
O, ty perło wśród pereł mej wolnej ojczyzny,
Droga, Ziemio Lubelska, kwitnij, kwitnij wiecznie!

SEWERYN SKULSKI, zamieszkały w Karnkowie, pow. Lipno, woj. bydgoskie, urodził się w r. 1894, w wieku 16 lat emigrował do Ameryki, gdzie pracował ciężko w różnych miejscach przez ćwierć wieku. Tam wstąpił do Partii Komunistycznej, za działalność w niej był więziony, a następnie deportowany do Polski. Drukował wyjątkowo dużo wierszy w prasie polonijnej, w USA wydał 3 tomiki poezji, zaś już w kraju — 1.
Od wyzwolenia należy do partii i mimo 70 lat nadal pełni wiele funkcji społecznych i politycznych. Ma szereg wysokich odznaczeń — z Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski na czele.

STANISŁAW NEUMERT

Zajście księżyca za stodołę

Jak gwóźdź tkwię w ciszy
gdy noc wpatrując się w szklany płomień
niesiony w dłoni
łamie rękę o krawędź stodoły,
druga dłoń nocy pokłuta ostami
podskoczy wysoko
pies zawyciem obliże.

STANISŁAW NEUMERT zamieszkały w Gulczu, pow. Czarnków, woj. poznańskie, urodził się w r. 1939, publikuje od r. 1960 w wielu czasopismach, m. in. we „Współczesności" oraz w almanachu „Młoda wieś pisze" i „Almanachu młodych", w LSW znajduje się jego tomik „Miejsce zmagań".

PIOTR KRZYKALSKI

Juhas

Hej, Wietrzycku, wietrzycku, dobryś ty casami,
Po głowie cieka głoskos, ociros pot z cola,
Kiejby na skrzydłach w górę pchos mnie za owcami
I niesies głos po hali, kiej za nimi wołom.

Nucis mi pieśń, bym nie cuł sie w górach ubogim,
Na smerku mnie kołyses wśród złotych promieni,
Listecki polnych kwiotków ścieles mi pod nogi
Od Hali Gąsienickiej, do samiutkich Pienin.

Wodzis mnie po zbyreckach, po turniach, po skałach,
Od świtu, aż do zmroku, jak leśnego ducha,
Kaj owca, tam jo przy ni, kiejby nie becała
I śpiwom jyj: taś moja, jo twój wierny juhas.

PIOTR KRZYKALSKI z Nowego Sącza urodził się w r. 1899. Pracował społecznie już przed wojną. W r. 1937 wydał książkę o bezrobociu i rolnictwie pt. „Ku rozwadze", zaś w r. 1946 dwukrotnie tom poezji „Łzy znad brzegu Dunajca". Wiersze drukuje na łamach licznych czasopism. Jest przewodniczącym Ziemi Nowosądeckiej.

WŁADYSŁAW KUCHTA

W polu kolebie się kłos

Na kłosach zbóż
kołysze się wiatr,
taki leciuchny —
jak mały skrzat.

Powoli, powoli
kolebie się kłos...
wraz z ciszą drzemie —
zapewne śni coś...

Rój muszek brzęczy
swój letni marsz...
wita muzyką
nasz żniwny staż...

Choć żniwny trud
wyciska swe piętno,
lecz w trudzie tym
zakwita piękno.

WŁADYSŁAW KUCHTA, zamieszkały w Mołodutynie, pow. Chełm, urodził się w r. 1911. Działał na niwie społecznej już przed wojną. Drukuje od r. 1930. Jest korespondentem różnych pism. Wiersze opublikował m. in. we „Wsi Tworzącej" w r. 1962, zaś w r. 1963 otrzymał własny tomik „Biawatki".

HANKA NOWOBIELSKA

Moje dumki

Telo bokiem mijomy drózek,
telo małyk cyiksi domków,
wrotek, ftoryk gazda nie domknął,
kany zycie kryje sie cudze. —

Cyjąć dole — najbarziej wiosną,
jako owcy miejsce w kosorze —
— wozną — jako lo drzewa korzeń,
bo sie z downa ś niom zycie
zrosło. —

A jo dumiem o swoim Świątku —
— może w hań tym odpocnął
domku —
moze drzewek hawtyk się dotknął?

Moze ludzkim ocom zakryty —
cyjeś pole obsiewo zytem —
jak me serce — tęsknic niesytem...?

HANKA NOWOBIELSKA (właściwie JANINA FIUTOWSKA), poetka zamieszkała w Białce Tatrzańskiej, pow. Nowy Targ, urodziła się w r. 1912, debiutowała w r. 1936, wiersze publikowała na łamach licznych czasopism, zaś w r. 1961 w konkursie Towarzystwa Miłośników Kultury i Sztuki Góralskiej, zdobyła I nagrodę.

BRONISŁAW PIETRAK

Czeremchy

Kwitną białe czeremchy,
Bo czas na nie i moda.
Kwitną w lesie, przy drogach,
W cichych wiejskich ogrodach.
Kwitną białe czeremchy,
Wiatr zapachy ich niesie
I rozsiewa po wioskach
I rozrzuca po lesie.
Kwitną białe czeremchy,
Zdobią drogi swą bielą
I radują nam oczy
I serca nam weselą.
A więc sadźmy czeremchy,
Niech przy drogach nam rosną,
Niech radują nam oczy,
Niechaj kwitną nam wiosną.

BRONISŁAW PIETRAK, zamieszkały w Gutanowie, pow. Puławy, urodził się w r. 1914, od 30 lat zajmuje się kowalstwem artystycznym, zdobywając w konkursach wiele nagród. Zajmuje się wycinanką. Od r. 1956 publikuje na łamach około 30 pism. Prowadzi szeroką działalność społeczną, jest przewodniczącym Zarządu Klubu Pisarzy Ludowych. W konkursie poezji ludowej w Lublinie otrzymał w r. 1959 I nagrodę. Publikował m. in. we „Wsi Tworzącej", w r. 1962, zaś w rok później wydał własny tomik „Kąkole".

W 20 rocznicę śmierci współzałożyciela „Kameny"

Zenon Waśniewski

Autoportret — 1927

W KWIETNIU br. upłynęło 20 lat od śmierci w obozie koncentracyjnym w Bergen-Belsen współzałożyciela „Kameny", jej grafika w okresie przedwojennym (linoryty prawie w każdym numerze i w kilku zbiorkach Biblioteki „Kameny"), malarza i poety Zenona Waśniewskiego.

Urodził się w Tarnowie w r. 1891, ukończył szkołę realną w Krakowie, po czym wstąpił do Politechniki Lwowskiej na architekturę. Po dwu latach studiów musiał je przerwać z powodu wybuchu wojny światowej. Zwolniony z wojska pracował nad odnawianiem fresków wawelskich. Kontynuację studiów w Politechnice uniemożliwił z kolei wybuch powstania ukraińskiego we Lwowie. Waśniewski zrezygnował z dalszej nauki, ale plastyce pozostał wierny przez całe życie.

Po dwu latach pracy w radzyńskim gimnazjum prywatnym przeniósł się do Chełma, gdzie do września 1939 r. uczył rysunków w Seminarium Nauczycielskim Męskim i Liceum Pedagogicznym.

Aresztowany przez Niemców w październiku 1942 r. za udział w pracy konspiracyjnej przebywał w więzieniu na Zamku Lubelskim, a potem w kilku obozach koncentracyjnych. Nie doczekał wyzwolenia Bergen-Belsen przez wojska alianckie.

Jako malarz (głównie akwarele, ale również olej, tempera i pastele) celował w portretach (był też doskonałym karykaturzystą). Spośród pejzaży szczególną świeżością odznaczają się — podolskie. Wystawiał obrazy w Zachęcie Sztuk Pięknych w r. 1928, a w r. 1931 w Salonie Dorocznym Zachęty (dwukrotnie), prócz tego — w Lublinie (1928) i w Zamościu. Należał do Związku Plastyków w Lublinie.

Pierwszą pośmiertną wystawę obrazów Waśniewskiego oglądaliśmy w Chełmie w r. 1957. W 20 rocznicę jego zgonu otwarto tam również wystawę w maju br.

W związku z tym smutnym dwudziestoleciem przypominamy „Ostatni list" K. A. Jaworskiego zamieszczony w numerze 1/3 „Kameny" w r. 1946.

Wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego do 6 (16) nr „Kameny" z lutego 1935 r.

Ostatni list

Więc do tego przyszło. Łudziliśmy się do ostatniej chwili, czekali na powrót, na list przynajmniej. Dziś wiemy, że już nie wrócisz nigdy.

I oto piszę Ci ten list w zaświaty, list do dymu, który się rozwiał, do popiołów, które użyźniły ziemię śmiertelnego wroga, a może do kości, jeśli uniknąłeś krematorium. Zresztą, czyż nie wszystko jedno, dość, że nikt Ci kwiatów na grobie nie złoży, nie ma go bowiem.

A piszę Ci ten list na kartce „Kameny", naszej „Kameny", wznowionej w odrodzonej Polsce, dla której się męczyłeś, dla której życie oddałeś.

Pamiętasz początki naszego pisma, które powstało z niczego, ze skromnych naszych i koleżeńskich składek, z naszego entuzjazmu, z bezinteresownej życzliwości współpracowników — literatów? To wystawianie godzinami w prymitywnej drukarence i mustrowanie zecerów — Żyda i Rosjanina, którzy dobrze języka polskiego nie znali? Te żmudne korekty i walkę o każdy przecinek? I radość naszą, że „Kamena" nie będzie efemerydą, że się rozwija, że jej wygląd graficzny jest coraz lepszy? A te Twoje linoryty, początkowo jeszcze skromne, boś dopiero terminował w tym kunszcie, a potem wciąż doskonalsze? Czy wiesz, że było ich 54? Pamiętam, jak niektóre z nich podobały się Czechowiczowi. Dziś jesteście razem, a nowej „Kamenie" brak Twoich wkładek, mimo iż nakład jej wzrósł dziesięciokrotnie.

A wrzesień, tragiczny wrzesień 1939 r.? Ból serc naszych, że wszystko się wali, niebo zieje ogniem słońca i pocisków wroga, ziemia rozstępuje się pod nogami, a państwa nie ma. A potem moje uwięzienie, obóz koncentracyjny i lakoniczne listy do rodziny, w których nie omieszkiwałem załączyć pozdrowień dla Ciebie, Oranienburg. To była dla Ciebie nazwa egzotyczna. Czyś przypuszczał kiedy, że i dla Ciebie stanie się on tragiczną rzeczywistością i że zwiedzisz tych obozów więcej ode mnie?

Mój powrót i Twoja radość, że jestem znowu w Polsce, że żyję. Czyś myślał choć przez chwilę wtedy, że role wkrótce się zmienią, a mnie nie będzie sądzone cieszyć się Twym ocaleniem?

Widzę Cię dobrze tam za drutami. Stoisz na apelu w jednej z piątek, głód skręca kiszki, prężysz się na baczność przed smarkaczem i na komendę posłusznie ściągasz czapkę z ogolonej głowy... A potem śpiewasz z tysiącami towarzyszy idiotyczną piosenkę w języku Rilkego, którego tak pięknie tłumaczyłeś. W oczach Twych pogarda, w sercu nabój nienawiści, ale z ust spływają słowa głupiej pieśni, bo wiesz, że śpiewać trzeba, bo przytrzymają Cię dłużej na apelu, a tam w bloku stygnie upragniona brukwianka... Dziś oni są górą, ale jutro wiesz, co ich czeka. Byle tylko przetrwać i wrócić do Polski, do ukochanej żony, do bliskich, do swoich książek, do sztalugi. Ach, przetrwać, przetrwać...

Piszę te słowa, Zenku, a cień Twój chyli się nad kartką papieru. Patrzysz na mnie ze swych obrazów wiszących na ścianie, z czarnych kresek linorytów, z liter wiersza swego. To nie prawda, że Ciebie nie ma. Jesteś przy mnie w tej chwili, uśmiechasz się pobłażliwie i słyszę, jak szepczesz słowa Błoka z książeczki, którą ozdobiłeś pięknymi wkładkami: „...wszak wynik jest wiadomy: wszyscy umierają".

ZARAZ PO WOJNIE

(Dokończenie ze str. 1)

Niezmordowany Wiktor Ziółkowski organizował wraz z Zenonem Kononowiczem kolejną wystawę Okręgowego Związku Plastyków i zabiegał o wydanie „Teki Lubelskiej", zbioru litografii, pod wspólnym tytułem *„Lublin w czasie wojny"*. W trzech czynnych kinach szły filmy amerykańskie — *Więzień nr 4328"* i *„Żółty skarb"* oraz polski *„Znachor"*. Teatr Miejski wystawiał *„Maturę"* Fedora, a Teatr Domu Żołnierza... codziennie o godz. 17 doskonałą rewietkę pt. *„Wiosna i wioSSna"*, pióra B. Braka".

O tym zaś, w jaki sposób to „przywykłe już do pokoju" miasto obchodziło dzień zwycięstwa, pisał z emfazą ówczesny reporter *„Gazety Lubelskiej"*:

„...Promienie majowego słońca zalały radośnie Plac Litewski, który wypełnił się po brzegi tysiącami ludzi. Obywatele Lublina zgromadzili się, by zbiorową manifestacją uczcić uroczystą chwilę zwycięskiego zakończenia wojny. Nawet stare drzewa Placu Litewskiego oblepione były widzami, którzy weszli aż na wierzchołki..."

W obrębie dwudziestu czterech godzin środy 9 maja 1945 roku zaszło w Lublinie jeszcze jedno ważne wydarzenie: urodziło się pięcioro dzieci. Pierwsza piątka przedstawicieli lubelskiego „powojennego" pokolenia.

Doświadczony pracownik archiwum Urzędu Stanu Cywilnego w Lublinie przez pół dnia musiał się grzebać w ogromnych księgach metrykalnych zanim odnalazł imiona i nazwiska tych pięciorga. Jednego chłopca i czterech dziewczynek. Zadanie miał niełatwe, bo w dawnych księgach parafialnych prowadzono zapisy metodą „jak leci". To znaczy, jeden po drugim, na wielkich kartach spisywano akty urodzenia, w miarę zgłaszania noworodków. W ten sposób nazwisko rozpoczynające się na literę A mogło następować za nazwiskiem zaczynającym się na literę W. Dokładna data urodzenia występuje dopiero jako 43 słowo pisanego ręcznie tekstu. Takich aktów musiał archiwista przewertować kilkaset!

— *A to dla pana* — powiedział po prostu, kiedy odwalił za mnie tę straszną pracę. I położył na stole małą kartkę, na której widniały pięknie wykaligrafowane (widocznie archiwiści są ponadczasowi) imiona i nazwiska: Ewa Wiesława Cisłowska, Stanisław Grzegorz Sadowski, Danuta Barbara Trejgiell, Józefa Zofia Chorembała i Zofia Teresa Konofalska.

— *Wróćmy jednak do naszych ksiąg* — powiedział człowiek w okularach. — *Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o tych młodych ludziach. Same nazwiska nie wystarczą do odnalezienia ich adresów w Biurze Ewidencji Ludności.*

Zanurzyliśmy się więc znowu w czasy przeszłe.

W osiemdziesięciu kilku słowach „schematycznego" tekstu aktu urodzenia zawiera się mnóstwo treści. Data, czas i miejsce spisania aktu, nazwiska i imiona, wiek i zawód rodziców oraz świadków, data, miejsce i godzina urodzenia dziecka, nadane mu imiona, wreszcie nazwisko i imię osoby uczestniczącej przy spisywaniu aktu — z urzędu. W sumie poznałem nie tylko imiona i nazwiska pięciorga niemowląt, ale spory kawał życia pięciu lubelskich rodzin. Ewa Cisłowska okazała się córką młodego lubelskiego urzędnika, prawdopodobnie pierwszym dzieckiem, bo rodzice byli *„22 i 23 lata liczący"*. Grzegorz Sadowski — synem brukarza z przedmieścia, Danuta Trejgiell — posażną córką właściciela piekarni z parafii św. Mikołaja. Zofia Konofalska — córką niemłodego już handlowca, wreszcie Józefę Chorembałę przyniosła do urzędu parafialnego jakaś kobieta... *„Michalina Morawska* (znajoma? babka?), *robotnica... w zastępstwie ojca... Józefa Chorembały, lat dwadzieścia trzy, malarza pokojowego, nieobecnego przy sporządzaniu niniejszego aktu, z powodu służby w Wojsku Polskim"*...

Gdzie są teraz?

— *Jeżeli nie wynieśli się z Lublina przed 1951 rokiem, będziemy ich mieli żywych, czy umarłych* — żartował kierownik Biura Ewidencji Ludności. Siedziałem w pokoju na drugim piętrze w budynku lubelskiego Trybunału. Po mrocznym archiwum Ratusza było tutaj niemal wesoło. Przez okna wpadało słońce, za ścianą tłamsili się podenerwowani młodzieńcy stający tego dnia przed komisją poborową, za inną ścianą panienki tłukły na maszynach. Kierownik starał się być uprzejmy i bawił mnie historyjką o tym, jak przed rokiem ZMS szukał osiemnastolatków urodzonych 22 lipca 1944 roku i... oczywiście, znaleźli się tacy! — ale zdawałem sobie doskonale sprawę, że przed wyborami jest zawalony pracą i że wpadłem mu w robotę jak śliwka w kompot. Położyłem więc delikatnie swój świstek papieru z wypisanymi nazwiskami na biurku i postanowiłem zniknąć do następnego dnia, licząc, że przy dobrej woli urzędników, w ciągu 24 godzin sprawa zostanie załatwiona.

— *Proszę poczekać dziesięć minut!* — zawołał kierownik. — *Zaraz ich panu damy!* — Weszła panienka, wręczył jej moją kartkę.

— *W Archiwum szukali pół dnia* zaszemrałem — *myślałem więc...*

— *W Archiwum są stare książki parafialne, a u nas nowoczesna kartoteka, ot, jak się rzecz przedstawia!...* — wyjaśnił kierownik z satysfakcją.

— *Ma pan szczęście* — powiedziano mi po dziesięciu minutach. — *Same babki! Trójka! Mieszkają z rodzicami. Na marginesie ma pan wypisane ich adresy.*

Spojrzałem na kartkę. Obok Grzegorza Sadowskiego i Danuty Trejgiell widniały „ptaszki" oraz notatki: *„Nie fig."* Zrobiło mi się przykro.

— *Co z nimi?* — zapytałem.

— *„Nie figurują". Może nie żyją, może wyjechali. W każdym razie ani ich, ani ich rodziców w Lublinie nie ma. Zniknęli z miasta co najmniej czternaście lat temu.*

Józefa-Zofia

Przy nazwisku Chorembały było napisane: ul. Tatarska 3/5. Tatary — to fragment dzielnicy Kalinowszczyzna, odległego (ongiś) przedmieścia Lublina, a stanowiącego dzisiaj mieszaninę Fabryki Samochodów Ciężarowych, wielkich nowoczesnych bloków mieszkalnych osiedla ZOR Tatary i... śmierdzących uliczek z walącymi się chałupkami. Te ostatnie można by

→

WIOSNA W BIESZCZADACH

(Ciąg dalszy ze str. 1)

stać te nie istniejącą jeszcze powierzchnię mieszkalną.

Ze starego nawyku raczej, niż istotnej potrzeby zapytałem skąd przyjechali i dlaczego osiedlili się właśnie tutaj. Były przecież jeszcze wolne gospodarstwa we wsiach bliższych miasta, jak choćby w Zadwórzu, lub Równi.

Przyjechali ze Śląska, a o warunkach osadnictwa dowiedzieli się z radia i gazet.

Takie było moje pierwsze spotkanie z rodziną G. przed trzema z górą laty i od tego czasu datuje się nasza znajomość.

Przejeżdżając obwodnicą odwiedzałem ich od czasu do czasu. Jedno z ostatnich moich z nimi spotkań wypadło w czasie zimy.

Śniegi wtedy spadły ogromne. Przebijaliśmy się za pługiem odśnieżnym w stronę Lutowisk. Samochód raz po raz grzązł w większych koleinach, od gór cięło poziomymi smugami gęstniejącej śnieżycy. Zawróciliśmy w Czarnej.

Pomyślałem wtedy o moich znajomych z pobliskiej osady. Jak radzą sobie w zimie, gdzie mieszkają, przecież nie ukończyli jeszcze domu...

Wspólna droga

Jest w ich losach wspólna droga większości osadników, droga do własnego domu. Ani gorsza, ani lepsza. Ich doświadczenia nie są czymś wyjątkowym. Podobnie jak wielu przybyłych na te tereny ludzi, zaczynali niemal od niczego. Trzeba zbudować jakieś schronienie dla siebie, dla dzieci, trzeba jak najszybciej sklecić jakiś własny dach nad głową i pomieszczenie dla bydła.

Tu przyroda ma swoje określone prawa i jeśli przed zimą nie zabezpieczysz sobie warunków do przetrwania śniegów, mrozów, zawiei, marny twój los, człowieku...

Z nosem przylepionym do szyby samochodu szukam znajomego domu. Jest! Pod dachem, ale z pustymi otworami okiennymi.

Dym sączący się z komina niknie w zadymce. Wchodzimy do środka. Witamy się z gospodarzami. Rozmawiamy w nie wykończonej kuchni, jedynym zamieszkałym pomieszczeniu. Nie zdążyli z budową. Nie zdążyli wstawić okien, drzwi i poza tą jedną klitką, w której trzeba palić bezustannie, aby nie umarznąć, wszystko jest w stanie surowym.

Rozglądam się po pomieszczeniu. Na ścianach w łączeniach między pustakami srebrzystym szronem czai się mróz. Łóżeczko dziecinne przysunięte bliżej ognia. Aby nie grzęzło w surowej, nie ubitej glinie wstawione nogami w puste puszki od konserw.

Najprostsze meble — ława, jakieś naczynia, stół, kilka książek, niekompletowana martwa natura osadniczej codzienności.

Jak wytrzymali surowe mrozy? Okazuje się, że mimo przewiewności mieszkania, nie najgorzej. Nikt nie chorował, nawet to najmłodsze, które śpi teraz zakopane po kręcący się kosmyk włosów w kraciastej pierzynie.

Z utęsknieniem czekają wiosny. Chcieliby trochę zasiać, posadzić, założyć niewielki ogródek warzywny, bo przecież jak długo można po każdą marchewkę jeździć do Ustrzyk?

Mają gospodarstwo czternastohektarowe. Większość tych gruntów jest zaniedbana i nie nadaje się pod uprawę. Trzeba karczować czarną olchę, sosnę, jałowiec. Trzeba jeszcze tylu starań, i w sprawie kredytu, i w sprawie ukończenia budynku.

Przegadaliśmy godzinę, może półtorej. Wyjechałem w samą porę. Kilkakrotnie przepychając samochód przez coraz większe zaspy, na wieczór dotarliśmy do miasta.

Tak się złożyło, że z rodziną G. straciłem kontakt przez prawie dwa lata. Obok ich domu powstały w tym czasie inne. Dziś osada, czy jak ją nazywają jej mieszkańcy „kolonia" liczy jedenaście budynków.

Trudne lata

Jest wiosna. Dalekie śniegi na północnych stokach Caryńskiej wyglądają stąd nierealnie, jak oleodrukowa pocztówka. W szlachetnych brązach i szerościach zakwitają masywy bukowych lasów. Jest to jeden z najpiękniejszych, najbardziej subtelnych okresów bieszczadzkiego pejzażu.

Mój rozmówca od tamtego czasu się zmienił, jak gdyby te lata nabrały w jego życiu specjalnej wagi. Opalony, barczysty, z charakterystyczną sylwetką ludzi ciężko pracujących fizycznie.

Zastałem go przy orce. Siadamy na pniu zwalonego przez wiatr kasztanu, konie puszczone luzem skubią resztki zeszłorocznej trawy.

Słucham dalszego ciągu opowieści przerwanej dwa lata temu pewnego zimowego popołudnia.

— Pan pyta o dom? Widział go pan chyba po drodze. Nie wykończony. Nadal część otworów nie ma okien. Jak przeżyliśmy zimę stulecia? Nie najgorzej Pustaki okazały się materiałem dobrym, suchym, ale przydałaby się jeszcze jedna warstwa izolacyjna z cegły. To nie były lata najłatwiejsze.

Wiem, że nie były lata najłatwiejsze. Może po prostu tak się złożyło, może to był zbieg okoliczności. „Czarną serię" otworzyła choroba głowy domu, choroba, która wykluczała jakąkolwiek cięższą pracę fizyczną. Potem padł koń.

Wiosną wilki rozszarpały dwie pierwsze w gospodarstwie owce. Przez trzy lata trwa karczowanie odradzającej się samosiejki, przez trzy lata ciągnik wyrywa z ziemi dwudziestoletnie sosny rosnące na gruntach, gdzie powinien rosnąć owies i jęczmień.

Ubiegłego lata pomogli w tej pracy przygodni autostopowicze, którzy zarabiali w ten sposób na bilet powrotny do domu.

Przez trzy lata trwa intensywna walka ze zmorą osadników i administracji leśnej — czarną olchą. To, co przy kupnie ziemi wymieniono w kontrakcie jako grunty IV klasy, okazało się gęstwiną dziko rosnącego lasu.

Wiadomo, że nie uprawianego przez dwadzieścia lat ugoru jednym koniem nie zaorzesz... Trzeba było odłożyć znów na dalszą przyszłość inne potrzeby i kupić drugiego konia.

— Pan pyta dlaczego nie orzę traktorem? Oczywiście, że orzę. Czy pan sobie w ogóle zdaje sprawę, ile czasu i energii traci się nie przy takiej orce, ale załatwianiu spraw z nią związanych? Czy człowiek jest w stanie użerać się w nieskończoność o terminowe wykonanie roboty? Ma pan przykład ostatnich trzech dni. POM-owski traktor orze mi dwa hektary pola już trzeci dzień. Niemożliwe? To się panu tylko tak wydaje. W pierwszym dniu wyjechał w pole, ale wyciekł mu hydrol z hamulców i o robocie nie było mowy. W drugim zgasł mu silnik przy wyjeździe na pole. Dziś w południe pojechał tam po raz trzeci. Skóra na mnie cierpnie, czy znowu nie dotknie go jakaś klęska żywiołowa...

Prócz odłogów są w gospodarstwie grunty, które były już uprawiane w latach poprzednich. Pomimo że jest to na pewno skończoną bzdurą, ale jeśli ubiegać się o zaoranie tych właśnie gruntów, powiada nam się: „My mamy orać ugory".

Jak nakaz to nakaz. Jest zresztą publiczną tajemnicą, że zarabia się nie na orce, a na transporcie. Parę worków cementu pomnożone przez liczbę kilometrów, nieskomplikowana praca... Pokażcie mi takiego, kto zamieni pracę lepiej płatną na gorszą...

— Pan pyta o dom. Nie jest łatwo budować, a tym bardziej kończyć budowę. Tu trzeba desek. Mam swoje drewno, wiele osadników ma podobne kłopoty. Przetarcie klocka na deski to oddzielny problem... Ostatnio rżnąłem deski sam, bo właściciel tartaku, do którego zawiozłem kloce, nie nadawał się do tej roboty... Dla dobra nas obu lepiej zrobił idąc spać.

Takie były kłopoty. A zwycięstwa?

W ogródku nieźle udały się pierwsze warzywa. Piękny był zeszłoroczny zbiór ziemniaków. Na dobrze uprawionej łące, gdzie przedtem było nie chciało się schylić, zebrano trzykrotnie siano. Obrodził jęczmień.

W tym roku pod kontraktację wyki przeznaczyli 4 hektary. Przy domu zasadzono 30 arów czarnej porzeczki.

Wspólnymi siłami mieszkańców kolonii zbudowano drogi dojazdowe do gruntów leżących po drugiej stronie potoku. Przerzucono trzy mostki.

Postulaty. Jest ich kilka, niezbyt zresztą wygórowanych. Wzdłuż drogi niecałe sto pięćdziesiąt metrów powyżej domów mieszkalnych, przebiega linia wysokiego napięcia. Wszystkie osady wzdłuż tej drogi od Czarnej po

(Dokończenie na str. 11)

---

pokazywać turystom jako ostatni kawałek dawnej Polski B w kieszonkowym wydaniu.

Szedłem więc sobie wieczorem, wiosną, na ulicę Tatarską do moich znajomych. Szedłem ulicą Sienną, biegnącą niby wąski korytarz u podnóża muru okalającego żydowski kirkut. Zastanawiałem się, idąc, czy „stary" Chorembała wrócił z wojny, a jeśli tak, to czy nadal maluje pokoje i w jaki sposób potoczyły się w ciągu minionego dwudziestolecia losy całej rodziny. I właściwie po co tam idę i o czym będziemy rozmawiali...

Przed domkiem siedział pies. Kiedy podszedłem, zaszczekał. Wtedy drzwi otworzyła właśnie ona, wiedziałem od razu, że to ona, wysoka, krótko ostrzyżona dziewczyna. Powiedziałem, kim jestem i po co przyszedłem. Wprowadziła mnie do jedynego w mieszkaniu pokoju, małego, zawalonego meblami, za to fantazyjnie pomalowanego. Na łóżku spał ojciec. Obudziła go.

Usiedliśmy przy stole. Na przeciwległej ścianie wisiał oprawiony w grube ciemne ramy portret ślubny.

— *Jak mnie wzięli, do wojska znaczy się* — gospodarz spoglądał przez dłuższą chwilę na fotografię — *byłem dopiero jedenaście dni po ślubie. Jedenastego września czterdziestego czwartego mnie wzięli, a w październiku już maszerowałem na Berlin. Chłopak byłem młody. Dwadzieścia trzy lata. Żonę zostawiłem samą na niepewne.*

— *Żonie ciężko było. Jakaś kobieta zamiast pana dziecko do chrztu nosiła...*

— *Ee, tam, nie tak znowu ciężko. U teściowej była. Teściowa nosiła.*

— *Żona pracuje?*

— *Pracuje. W FSC. Ja w Spółdzielni Lakierników, syn ma już 17 lat, uczy się w Technikum Łączności, najmłodsza córka chodzi jeszcze do podstawówki...*

— *A pani?* — zwrócił się do dziewczyny. Siedziała uśmiechnięta, zasłuchana w wojenne opowieści ojca.

— *Ja? Też w fabryce. Pracuję. Jak wszyscy. Normalnie, no nie? To, co zarabiam, na moje potrzeby wystarczy. Jak zechcę* — zaśmiała się przekornie — *to wyjdę za mąż. Ale na razie dobrze mi z rodzicami.*

Siedzieliśmy jeszcze chwilę w milczeniu. To nie byli ludzie, którzy lubią gadać o przeszłości. Kiedy już wychodziłem, Chorembała coś sobie przypomniał:

Zofia-Teresa i Józefa-Zofia Fot. A. Polakowski

— *Wie pan, człowiek specjalnie o wojnie myśleć nie chce, to i tego 9 maja nie pamięta dokładnie, ale teraz akurat sobie przypomniałem, że jak się córka urodziła, staliśmy jak sam raz nad Nysą i ogłosili wtedy pokój. Żona przysłała depeszę, że mamy dziecko. No to, powiedziałem do siebie, chwała Bogu, córko, już ci ojca chyba nie zabiją...*

Zofia-Teresa

Zofia Teresa Konofalska mieszka w zupełnie przeciwległej dzielnicy, przy ul. Kunickiego. Studiuje. W tej chwili kończy drugi rok chemii. Oboje rodzice pracują nadal, jak przed dwudziestu laty, w swoim zawodzie. W handlu. Podczas rozmowy zapytałem jej matkę o 9 maja. Pamięta dokładnie dzień zakończenia wojny. Wtedy przecież urodziło się jej najmłodsze dziecko. O jedenastej rano, do sklepu, w którym pracowała, wszedł milicjant i powiedział, że wojna się skończyła, więc sklep należy zamknąć, bo jest święto narodowe. No więc ucieszyli się bardzo oboje z mężem. Ale potem już nikt nie miał głowy myśleć o zwycięstwie, bo o pierwszej po południu przyszła na świat córka.

— *Skąd to upodobanie do chemii?* — pytam Zofię Teresę.

— *Upodobanie? Raczej przypadek. Do nauk humanistycznych nie miałam zamiłowania, medyczne mi nie odpowiadały, z Lublina rodzice nie chcieli puścić... Mimo przypadkowego wyboru lubię jednak swój kierunek studiów. Pracy bardzo dużo, ale studia ciekawe.*

— *Jakie plany na przyszłość, po skończeniu studiów?*

— *Wyjechać z Lublina.*

— *Do większego miasta?*

— *Nie, właśnie na prowincję. Może być do Puław. Ale tam nie łatwo się dostać chemikom po studiach uniwersyteckich. Potrzebują raczej inżynierów — chemików. Chociaż, podobno puławskie „Azoty" mają objąć patronat nad Wydziałem Chemii UMCS, może w związku z tym po zrobieniu odpowiedniej specjalizacji łatwiej będzie o pracę. Ale właściwie najlepiej byłoby pracować w szkolnictwie. Jako nauczycielka chemii. A mąż mógłby w produkcji...*

— *Mąż?*

— *No, w przyszłości. Ewentualny.*

— *Rozumiem. Mąż, również chemik. Ale dlaczego właśnie w produkcji?*

— *A cóż to za mąż, który pracuje w szkolnictwie...*

Co to jednak znaczy dwadzieścia lat!

Do Ewy Cisłowskiej, ostatniej z trzech mieszkających w Lublinie dziewcząt nie udało mi się dotrzeć. Czy spotkanie z nią wniosłoby coś nowego? Chyba nie. Można było za pośrednictwem warszawskich biur ewidencyjnych starać się także odszukać adresy dwojga pozostałych osób żyjących prawdopodobnie gdzieś na terenie kraju. To też chyba zbyteczne. Powiedziałyby prawdopodobnie to samo co i nasze dwie dziewczyny, chociaż każda wyraziła to samo w inny sposób. Ich życie niczym nie różni się od życia innych dziewcząt i chłopców urodzonych po wojnie. Studiują, pracują i starają się te czynności wykonywać dobrze. Są rzeczowi, gdy układają plany na przyszłość. Powoli zaczynają myśleć o zakładaniu już własnych rodzin.

A ta piątka wyróżnia się spośród całej masy tylko jednym: — najpiękniejszymi urodzinami!

Mirosław Derecki

gdybym był PRZEWODNICZĄCYM PREZYDIUM MRN...

ankieta wśród młodzieży

MAJĄC na uwadze zbliżające się wybory do rad narodowych, które są doskonałą okazją do podsumowania dorobku, jak też wskazania dalszych potrzeb terenu, postanowiliśmy wysondować opinię młodzieży akademickiej i szkolnej, by dowiedzieć się od niej, na co — jej zdaniem — nowa rada miejska w Lublinie powinna położyć największy nacisk.

W tym celu wśród studentów II i III roku filologii polskiej UMCS i uczennic Technikum Ekonomicznego w Lublinie przeprowadziliśmy ankietę. Miała ona charakter anonimowy, co gwarantowało większą szczerość wypowiedzi. Na UMCS wzięło w niej udział 41 osób, w tym z II roku — 13 oraz III roku — 28. Zdecydowaną przewagę stanowiły kobiety (39), mężczyzn bowiem było tylko 2. Jeśli chodzi o pochodzenie społeczne uczestników ankiety — najliczniej reprezentowana była inteligencja pracująca (20 osób), następnie młodzież pochodzenia chłopskiego (13) i robotniczego (8). Jest rzeczą charakterystyczną, że tylko 4 osoby były o rok starsze od Polski Ludowej, natomiast wszyscy pozostali byli jej rówieśnikami.

W Technikum Ekonomicznym w ankiecie wzięło natomiast udział 36 dziewcząt (w wieku 18—19 lat) przygotowujących się właśnie do matury.

Trzeba stwierdzić, że na postawione pytanie: *„Co starał(a) bym się zrobić dla Lublina, gdybym był(a) przewodniczącym MRN?"* — młodzież udzieliła rzeczowych, obfitujących niejednokrotnie w bardzo konkretne propozycje odpowiedzi. Uczestnicy ankiety dali wyraz swej głębokiej trosce o dalszy wszechstronny rozwój naszego miasta, wykazując się dobrą znajomością jego bolączek i braków.

Niemal ze wszystkich ankiet przebija troska o to, by Lublin był jeszcze piękniejszy i większy, by naprawdę można go było uważać za duże miasto. Osiem osób wyraźnie podkreśla, że obowiązkiem nowej rady winno być dołożenie wszelkich starań, by nadać Lublinowi wielkomiejski charakter. Postuluje się więc burzenie starych dzielnic (5 głosów), przebudowę ul. Lubartowskiej (1) i Skłodowskiej (1). Słuszna wydaje się też uwaga, że Lublin to nie tylko Krakowskie Przedmieście i LSM, ale także Dziesiąta i Tatary, Kalinowszczyzna i Czechów, Kośminek i Bronowice. Tym dzielnicom, jak również innym, których nie wymieniono, należy się z pewnością znacznie więcej uwagi ze strony władz.

Fot. Z. Postępski

Dużo do życzenia pozostawia stan naszych ulic. 8 uczestników ankiety wskazuje na konieczność dalszej poprawy nawierzchni, 2 — na polepszenie oświetlenia. I wreszcie czystość. Aż 13 studentów poddaje ostrej krytyce dotychczasowy stan, żądając wręcz ostrych sankcji dla dozorców i osób zaśmiecających ulice. 5 osób podkreśla konieczność otoczenia większą opieką zieleni, której i tak jest mało, oraz oczyszczenia Bystrzycy (1).

W zakresie inwestycji na pierwszy plan wysuwa się — rzecz jasna — budownictwo mieszkaniowe (9 głosów), budowa nowego śródmieścia (3) oraz remont Starego Miasta (3). Z tym ostatnim postulatem wiąże się inne zalecenie, mianowicie wykorzystanie w większym stopniu atrakcyjnych zabytków lubelskich dla ożywienia turystyki.

Gwałtowny przyrost liczby mieszkańców oraz piętrzące się trudności lokalowe, komunikacyjne i inne zmusiły jednego z uczestników ankiety do sformułowania wniosku, w którego świetle należałoby ograniczyć dopływ ludności do Lublina, tak, jak uczyniło to szereg innych miast — z Warszawą na czele.

Studenci widzą też konieczność dalszego rozwoju sieci placówek usługowych, zwiększenia liczby sklepów i ich personelu (3 głosy) oraz ich zaopatrzenia (1), które niejednokrotnie bywa gorsze, niż w wielu miastach powiatowych.

Osobny problem to komunikacja. 15 osób wypowiada się za jej natychmiastowym usprawnieniem, 1 — dopomina się przyspieszenia budowy dworca PKS, 1 — zwiększenia liczby autobusów, które codziennie w godzinach popołudniowych, zaś w niedzielę przez cały dzień zapewniałyby mieszkańcom

(Dokończenie na stronie 10)

Propozycje i... marzenia

„Przewodniczącym MRN nigdy nie zostanę. Jako prywatnej osobie wolno mi marzyć o większej czystości Lublina, o wybudowaniu obiektów sportowych i kulturalnych w miasteczku uniwersyteckim".

(Studentka II r. fil. pol. UMCS, wiek — 20 lat, pochodzenie — inteligencja pracująca)

„Zwróciłabym większą uwagę na wygląd zewnętrzny miasta, uczyniłabym miasto czyściejszym i przyjemniejszym. Po wtóre — palącym problemem jest też wybudowanie basenu pływackiego dla młodzieży".

(Studentka II r. fil. pol. UMCS, wiek — 20 lat, pochodzenie chłopskie)

„Jako przewodnicząca MRN w Lublinie starałabym się o nadanie Lublinowi wyglądu dużego i ładnego miasta. Przede wszystkim dążyłabym do uporządkowania ulic i odnowienia domów, z których wiele znajduje się w opłakanym stanie i na pewno nie jest ozdobą miasta. Dalej należałoby poprawić komunikację, założyć nowe linie autobusowe i trolejbusowe, w miarę możliwości poszerzyć niektóre wąskie ulice".

(Studentka II r. fil. pol. UMCS, wiek — 20 lat, pochodzenie robotnicze)

„Wypełnić konsekwentnie plany zmiany charakteru miasta. Uprzemysłowić i upiększyć. Zburzyć dzielnice ohydy i brudu — Lubartowską, Buczka i 1 Maja oraz całą dzielnicę nadbystrzycką z jej przyległościami". **(Burzyć to najłatwiej! — Red.).**

(Studentka III r. fil. pol. UMCS, wiek 19 lat, pochodzenie chłopskie)

„Dla Lublina pierwszą i bardzo istotną potrzebą jest ograniczenie napływu ludności z terenu. Lublin słusznie określono jako „wojewódzką wieś". Przyczynia się to do ciasnoty mieszkaniowej, do wzrostu chuligaństwa. Jako przewodnicząca MRN pamiętałabym również, że Lublin to nie tylko Krakowskie Przedmieście i LSM, ale i pozostałe dzielnice miasta".

(Studentka III r. fil. pol. UMCS, wiek — 22 lata, pochodzenie — inteligencja pracująca)

„Przede wszystkim największy nacisk położyłabym na rozbudowę życia kulturalnego. Lublin, miasto wojewódzkie, ma pod tym względem wiele mankamentów. Nie ma porządnej sali na występy przyjeżdżających zespołów. Zlikwidowałabym kino „Koziołek" — najbardziej brzydkie i ordynarne w całym mieście, a chyba i w województwie".

(Studentka III r. fil. pol., wiek — 20 lat, pochodzenie robotnicze)

„Chciałabym nadać Lublinowi wygląd wielkiego miasta. Przebudować dzielnice: Czechów, Wieniawa, Kalinowszczyzna — wszystko to, co oszpeca skądinąd dość przyjemne miasto. Wiele ma do życzenia wygląd estetyczny ulic i to tych głównych. Za daleko powstają nowe dzielnice mieszkaniowe. Brak łączności ze śródmieściem, które tylko w nocy, przy neonach, stwarza wrażenie śródmieścia".

(Studentka III r. fil. pol. UMCS, wiek — 21 lat, pochodzenie robotnicze)

„Jestem z Lublina i mieszkam u rodziców, ale wiem od koleżanek mieszkających na stancjach, nie zawsze dysponujących odpowiednimi warunkami i drogich, jak bardzo potrzebna jest budowa dalszych «akademików»".

(Studentka III r. fil. pol. UMCS, wiek — 22 lata, pochodzenie — inteligencja pracująca)

„Uważam, że Lublin powinien mieć więcej zieleni. Niestety, od pewnego czasu widoczna jest tendencja do wyrywania drzew i krzewów trawników. Poza tym należałoby zadbać o czystość miasta".

(Studentka III r. fil. pol. UMCS, wiek — 20 lat, pochodzenie — inteligencja pracująca)

„Przede wszystkim czystość miasta: ulice są niejednokrotnie bardzo zanieczyszczone, nie uprzątnięte. Wiele ulic nie ma chodników, przy wiosennych i jesiennych ulewach brnie się po kostki w błocie".

(Studentka III r. fil. pol. UMCS, wiek — 21 lat, pochodzenie robotnicze)

„Większym zainteresowaniem powinno się cieszyć życie i warunki bytowe studentów — stąd wypływa konieczność częstszych spotkań radnych z młodzieżą studiującą".

(Studentka III r. fil. pol. UMCS, wiek — 20 lat, pochodzenie — inteligencja pracująca)

„Będąc przewodniczącą MRN chciałabym rozszerzyć w Lublinie sieć placówek kulturalnych. Chodziłoby przede wszystkim o zbudowanie nowego teatru i stworzenie aktorom takich warunków pracy, ażeby chętniej przyjeżdżali, a rzadziej wyjeżdżali. Także o umożliwienie filharmonii lubelskiej pracy w lepszych warunkach. Jeżeli zaś chodzi o wygląd miasta, zainteresowanie się Lublinem nie tylko od frontu, ale i od „podwórza".

(Studentka III r. fil. pol. UMCS, wiek — 21 lat, pochodzenie: inteligencja pracująca)

„Przede wszystkim chciałabym urządzić klub wyłącznie dla młodzieży, z kawą, z prasą, latem z lodami, żeby oddzielić młodzież od kawiarń miejskich. Poza tym czystość Lublina pozostawia wiele do życzenia. No i ta nieszczęsna komunikacja miejska".

(Uczennica Technikum Ekonomicznego, wiek — 18 lat, pochodzenie — inteligencja pracująca)

„Będąc przewodniczącą MRN w Lublinie, dążyłabym do tworzenia nowych, socjalistycznych stosunków społecznych, pragnęłabym, żeby u wszystkich ludzi zaistniał socjalistyczny stosunek do pracy".

(Uczennica Technikum Ekonomicznego, wiek — 19 lat, pochodzenie chłopskie)

Założyłabym wiele nowych zieleńców, kilka klubów młodzieżowych, gdyż nie mamy miejsca, gdzie moglibyśmy się spotykać, by porozmawiać".

(Uczennica Technikum Ekonomicznego, wiek — 20 lat, pochodzenie robotnicze)

„Wiele uwagi chciałabym poświęcić podniesieniu kultury życia codziennego, z którą jesteśmy ciągle na wojennej ścieżce".

(Uczennica Technikum Ekonomicznego, wiek — 18 lat, pochodzenie — inteligencja pracująca)

ANDRZEJ HAUSBRANDT

TEATROWI SZKODZI NIE TYLKO TEATR

W 5 numerze „Kameny" pani Halina Chabros opublikowała artykuł zatytułowany „Teatrowi może pomóc tylko teatr". Za punkt wyjściowy tego artykułu — mającego jak zaznacza redakcja, charakter dyskusyjny — autorka wzięła pewne sformułowania zawarte w moim artykule zamieszczonym w roku ubiegłym przez „Politykę".

Dla każdego autora jest pewną satysfakcją odwoływanie się do jego zdania. Również i ja nie byłem od niej wolnym, mimo że ostrze moich wniosków skierowane było przeciwko zupełnie innym sprawom, niż wnioski pani Chabros. Wnioski, z którymi, niestety, zupełnie nie znając działalności Teatru im. J. Osterwy w Lublinie, nie jestem w stanie ani się zgadzać ani też polemizować. Chodzi mi jednak o rzecz ważniejszą nawet od sprawy, czy dyr. Torończyk prowadzi słuszną, czy też błędną linię repertuarową. Idzie o problem repertuaru w ogóle, a właściwie — dróg kształtowania tego repertuaru nie tylko w Lublinie, ale w całej Polsce. Wydaje się, że zarówno artykuł pani Chabros, jak i wezwanie redakcji „Kameny" do dalszej, szerszej dyskusji uprawniają mnie do zabrania głosu, tym bardziej, że nolens volens, w całą rzecz zostałem jakoś zamieszany.

O repertuarze teatralnym można jak o zieleni, czyli nieskończenie. I zresztą z pewnym powodzeniem od lat robi to kilka osób na łamach różnych czasopism, oraz z trybun rozmaitych spotkań, narad, zjazdów i konwentykli. Z nieco mniejszym powodzeniem prowadzi dyskusję repertuarową w praktyce kilkudziesięciu dyrektorów naszych teatrów. Co roku — zwykle o jesiennej porze — ukazują się liczne artykuły i wywiady sumujące klęski i triumfy minionego sezonu, a także otwierające optymistyczne perspektywy na sezon nadchodzący. Marzenia złote i srebrne odwracają uwagę od grzechów powszednich czasu minionego. Takie jest życie i może dobrze, że właśnie takie. Potem dyrektorzy przystępują do roboty i brutalna rzeczywistość zmusza ich do niejednej rezygnacji ze snu o potędze repertuarowej. Trzeba łatać, sztukować i podmieniać, bo inaczej cała buda czyli teatr nie wytrzyma. Jakoś w końcu rozchybotana nawa Melpomeny dopływa do portu recte końca sezonu i wtedy dyrektor dostaje baty. Okropne baty, przede wszystkim za repertuar. Że zawiódł nadzieje, że nie dotrzymał zobowiązań, że poszedł na ustępstwa, że brak linii, profilu, kierunku itd. A przecież na konkretny, zrealizowany repertuar składa się mnóstwo rozmaitych czynników. Chęci, nawet najszczersze, dyrektora teatru są tylko jednym z tych czynników. I to nie najistotniejszym nawet...

Układając repertuar teatralny — niezależnie od własnych upodobań — dyrektor teatru musi brać pod uwagę następujące elementy: możliwości obsadowe, rodzaj publiczności, bieżącą produkcję dramaturgów krajowych i zagranicznych, komplikacje z umowami ZAIKS-u, terminy prolongowane przez tłumaczy, sytuację finansową teatru, uwagi i poprawki wydziału kultury rady narodowej, tudzież Zespołu do Spraw Teatru Ministerstwa Kultury i Sztuki, zobowiązania wobec poniektórych (na szczęście nie wszystkich) aktorek i aktorów, szczególne daty, rocznice i nieszczególne festiwale, wydolność własnych pracowni, rozkład zajęć doangażowanych reżyserów i scenografów, a więc i opóźnienia premier innych teatrów, choroby aktorek i aktorów, nagłe „klapy" murowanych pewniaków, nieoczekiwane żądania filmu odnośnie pożyczenia tego lub innego członka zespołu, pory roku, pogodę, oraz wiele, wiele innych.

Już samo wyliczenie czynników na repertuar wpływających może pouczyć każdego, niedostatecznie zorientowanego w tych sprawach czytelnika, że wola i życzenia dyrektora teatru nie mają znowu tak wielkiego wpływu na ostateczny kształt repertuaru w teatrze. Konglomerat najróżnorodniejszych czynników, pozornie ubocznych, staje się w końcu główną siłą kształtowania repertuaru. I biada dyrektorowi, który o tym zapomni.

Natomiast okoliczność, że tyle czynników wpływa na wynik repertuarowy (nie plan) nie zmienia faktu, że wszelka władza, krytyka i PT. Publiczność w całości i niepodzielnie obciążają dyrektora odpowiedzialnością za oblicze artystyczne teatru. Jest to chyba wyjście słuszne, bo któż ostatecznie za repertuar odpowiada? Ci, którzy nie dotrzymują terminów? Ci, którzy zatwierdzają i zmieniają plany? Ci, którzy chcą, czy nie chcą chodzić do teatru? Ci, którzy dają i skreślają pieniądze? Nie! A więc kto? Oczywiście dyrektor!

I aczkolwiek sprawa odpowiedzialności jest dziecinnie prosta i bezsporna, to równocześnie nasuwa się myśl, czy nie należałoby wprowadzić do obrzędu repertuarowych zatwierdzeń pewnych uproszczeń? Może pozwoliłyby one nieco zwiększyć wpływ na kształtowanie repertuaru właśnie dyrektorowi teatru?

15 lipca 1961 roku, a więc równo w 551 rocznicę bitwy pod Grunwaldem, Zespół do Spraw Teatru Ministerstwa Kultury i Sztuki wystosował pismo okólne nr 5 regulujące tryb zatwierdzania repertuaru teatralnego i ustalające kalendarzyk poszczególnych zabiegów akceptacyjnych. Pismo, tak pamiętną datą opatrzone, musiało z punktu stać się dokumentem historycznym. I rzeczywiście. Stoi tam np. czarno na białym, że *„kierownicy wydziałów kultury zatwierdzają w planach repertuarowych tylko te pozycje, które są im znane..."*, jako że w przeciwnym wypadku zatwierdzaliby pewnie coś, o czym nie mają pojęcia. Np. *„Gałązkę rozmarynu"*, *„Żyda w beczce"*, *„Obronę Częstochowy"*, czy *„Przygody króla Pausole"*.

Okólnik ma i tę dobrą stronę, że w dzieło zatwierdzania repertuaru wplątuje mnóstwo osób, komisji i instytucji, wobec czego w końcu już zupełnie nie wiadomo, kto za co i kiedy ponosi odpowiedzialność. Wiadomo jedynie, że w kwietniu złożony przez teatr plan repertuarowy ma być zatwierdzony do 10 lipca (znów blisko daty Grunwaldu), z tym jednak, że *„Zespół do Spraw Teatru ma prawo zgłosić sprzeciw odnośnie kierunku repertuarowego teatru, względnie poszczególnych pozycji planu. Uwagi swe Zespół będzie zgłaszał wydziałom kultury do końca sierpnia każdego roku"*. A więc „kalendarzyk repertuarowy" wskazuje, że do początku następnego sezonu teatr nie może mieć zatwierdzonego repertuaru. Jest to swoisty kalendarzyk Ogino, czyli dni, w repertuar, niepłodnych. Tym bardziej, że jak głosi pkt. 9 okólnika, sztuki mogą być brane w próbę dopiero po zawarciu umów licencyjnych z ZAIKS-em, a to może nastąpić, gdy teatr będzie pewien, że sztuka może być wystawiona, czyli została mu zatwierdzona w repertuarze.

Tak więc — gdyby wszystko traktować poważnie — teatr w początku września przystępuje do prób z pierwszą sztuką nowego sezonu i, jeśli dobrze pójdzie, w połowie lub końcu października może mieć premierę. Jeżeli dodać, że terminy reorganizacji zespołów aktorskich (wypowiedzenia obustronne tylko w dniu 31 maja) nie pokrywają się z zatwierdzeniem repertuaru, może się zdarzyć, że wprawdzie sztuki będą zatwierdzone, ale poniektórych nie będzie kim obsadzić. Do wybitnej roli też się specjalnie angażuje aktorów. A przecież może być i odwrotnie, że zaangażowało się właśnie do roli, a rola przepadła wraz ze sztuką i gromadka zawiedzionych wzrasta jeszcze o zawiedzionego aktora.

Nic dziwnego, że tak zagmatwany we własnych sprzecznościach okólnik, mimo że narodzony w rocznicę historyczną, był od początku dość niepoważnie traktowany, czego dowodem, iż owego kalendarzyka nie trzymano się od początku. Zatwierdzano co nieco tymczasowo, a resztę hurtem, ze znacznym opóźnieniem. W bieżącym sezonie np. konferencje repertuarowe odbyły się: w Warszawie — 9 listopada, w Lublinie — 6 października, w Krakowie — 27 września, w Łodzi — 12 października itd. Repertuary ulegały oficjalnemu zatwierdzeniu oczywiście już po tych konferencjach. Czyli, praktycznie rzecz biorąc, przez dwa miesiące nowego sezonu każdy teatr jechał na repertuarowej prowizorce.

Podobno obecnie Ministerstwo Kultury i Sztuki rozważa możliwość nowego, odmiennego niż dotąd, unormowania trybu zatwierdzania repertuaru. Daj Boże, aby odnośne przepisy ukazały się po dokładnym przemyśleniu sprawy.

Do czego niezbędne korektury istniejącego stanu rzeczy prowadzić powinny?

Przede wszystkim trzeba zapewnić taki tryb zatwierdzania repertuaru, aby każdy dyrektor teatru przed rozpoczęciem nowego sezonu, a nawet przed dokonaniem zmian w zespole artystycznym (tj. zarówno wśród aktorów jak i reżyserów czy scenografów), wiedział na pewno, co będzie grał po wakacjach, po pierwszej premierze, po Nowym Roku i nawet koło Wielkiej Nocy, czyli przez cały nadchodzący sezon.

Po drugie: byłoby dobrze znacznie uszczuplić liczbę instancji i zespołów ludzkich mających decydować, czy opiniować repertuar. Te wszystkie kolegia i komisje albo walnie przedłużają całą procedurę, albo też działają czysto formalnie. W abstrakcji, w pełni nieświadomości i niekiedy, radosnej twórczości.

Po trzecie: należy jakoś rozsądnie ustalić elastyczność planu repertuarowego. Na pewno należy przestrzegać wykonywania przez teatry pewnych pozycji zasadniczych, fundamentalnych. Nie wolno np. akceptować zmian *„Karola"* na *„Ciotkę Karola"*, lub *„Czerwonych róż"* na *„Szkarłatne róże"*. Jeśli mają być *„Dziady"* czy *„Kordian"* to nie może być wariantem tego *„Świt, dzień i noc"* lub *„Znajda"*. Ale zarówno powinny być dopuszczalne pewne podmiany w jednej klasie repertuaru, jak i podmiany „w górę". To jest repertuaru słabszego na mocniejszy. Ostatecznie już rzeczą dyrektora powinna być decyzja czy „Dziady" czy „Kordian"?

Wydaje się, że byłoby nie tylko możliwe, ale nawet celowe, bardziej ramowo traktować plany repertuarowe. I z większym kredytem zaufania do kierownictw teatrów, do rad artystycznych w teatrach, do zespołu... Gdyby np. założyć, że teatr składa plan orientacyjny, ramowy, wytyczający kierunek działania, a następnie już samodzielnie ten plan realizuje i modyfikuje. Albo gdyby przyjąć, że teatrowi zatwierdza się „portfel sztuk" np. 2—3 razy więcej pozycji niż może dać on premier, przy czym dyrektor wraz z radą artystyczną mogą z tego „portfelu" samodzielnie już wybierać, oczywiście zachowując z grubsza wstępne proporcje.

Osobną kwestią jest sprawa tzw. sztuk dewizowych, tj. takich, których wystawienie pociąga za sobą wydatki w obcych środkach płatniczych: dolarach, funtach, frankach. Oczywiście, że te pozycje muszą być dość sztywno planowane. Pytanie tylko, czy i tu plan nie powinien być raczej ramowy? Tyle a tyle pieniędzy w zasadzie za taką to a taką sztukę z możliwością podmiany w uzasadnionych warunkach.

Skoro mowa o sztukach z importu to może warto zastanowić się, dlaczego tak cicho o ZAIKS-ie, gdy głośno o repertuarze? Przecież od poprawnego i szybkiego załatwiania właśnie przez tę instytucję różnych spraw z autorami, tłumaczami, agentami zagranicznymi zależy bardzo wiele. ZAIKS udziela np. opcji na przekłady.

Niestety, opcje te są w większości udzielane na zasadzie „kto pierwszy ten lepszy". Pani czy panienka pojechały do kapitalistycznej cioci w Paryżu, lub z „Orbisem" podziwiały Colosseum i już wracają do ojczyzny zasobne w egzemplarze sztuk. Lecą do ZAIKS-u, zaklepują opcję, siadają do tłumaczenia i... koniec. Sztuka zatkana. Nie można jej później wystawić, bo przekład raczej domowego chowu, jako że i tłumacz bardziej „orbisowy". Oczywiście, po pewnym czasie, jeśli sztuka nie zostanie wystawiona opcja traci ważność. No i następny tłumacz może przekładać od początku. Tylko czy zechce? Czy się odważy? Przecież już o sztuce poszła fama, że „chała". I tak umiera ona własną śmiercią. Nie! Nie własną! Zarżnięta przez tłumacza — amatora.

A gdyby ZAIKS zamiast zasady „kto pierwszy ten lepszy" zastosował zasadę „kto lepszy ten pierwszy"?

Walutowy import dramaturgii z zagranicy ma tylko wtedy sens, gdy jest to import pozycji najwartościowszych, bądź najpotrzebniejszych. Gdy musimy go uprawiać dla uzupełnienia niedostatków „produkcji" krajowej — to róbmy to wyłącznie za złotówki lecz nie za dewizy. Za „twarde" i „miękkie" to już lepiej lekarstwa, a choćby pomarańcze! I tu znów tak wiele ma do powiedzenia ZAIKS! Przecież jest on pośrednikiem w załatwianiu tych spraw z zagranicą. Przecież jego rolą jest dążyć do potanienia importu praw autorskich poprzez przerzucenie maksimum płatności na walutę polską. Jest to prawdopodobnie trudne i uciążliwe zadanie, może narazić na kłopotliwe pertraktacje z zagranicznymi partnerami, ale nikomu nie wolno powiedzieć: nas nie obchodzi, czy teatry grają za złote czy za dewizy, nam jest obojętne — a gdy nie macie dewiz, to nie grajcie!

Wśród „utrudniaczy" repertuarowych (piękne słowo, ale jakież inne może tu być ekwiwalentne?) znajduje się obok biurokratów i opieszalców grupa uczuleniowców. To ci sami, którzy widząc pijącego pół czarnej pytają: przeciw komu? Przeciwko komu on pije kawę? Podobnie, gdy omawia się tu, lub ówdzie, sprawy repertuaru taki „alergik" szuka nieustannie najróżnorodniejszych podtekstów, aluzji, podwójnych den, ukrytych żądeł i całego tego iluzjonistyczno-obsesyjnego bagażu. Bo mu się kojarzy. Wszystko ze wszystkim, tylko nie tak jak trzeba i nie to, co powinno. On dorabia komentarze i kalendarze do najniewinniejszych żarcików, boi się śmiechu i radości. Nic dziwnego, przeważnie życie nieraz go już wyśmiało. A być wyśmianym to nic śmiesznego. Otóż, dobrze jest, jeśli nad opinią takich ludzi odnosi triumf zdrowy rozsądek, wiara w siłę własnego ustroju i wyrobienie polityczne społeczeństwa.

* * *

W nagłówku napisałem: teatrowi szkodzi nie tylko teatr. Chodziło mi o to, że nie wszystkie błędy teatru w teatrze mają swe źródło. Wszystkie natomiast muszą być teatrem leczone. Utrudnień może być mniej, mogą być nie tak kłopotliwe, ale ostatecznie w końcu jest teatr. Nierozsądne zarządzenie można zastąpić rozsądnym, niesprawną pracę jakiejś instytucji — usprawnić, tego czy innego faceta trochę okiełznać, kogoś uspokoić, komuś coś wyjaśnić. Ale ostatnie słowo należy do teatru. Teatr musi leczyć się sam ze swoich słabości. Każdy sam musi leczyć się z własnych słabości. Warto przypomnieć o tym wszystkim zainteresowanym. Nie tylko teatrowi.

Autobus z piosenkami

PEWIEN młody kowboj zgarnął wszystkie nagrody na rodeo w Kansas City, po triumfie wybrał się na zasłużoną zabawę do niejakiego „Niebieskiego smoka", tam zadurzył się z miejsca w urodziwej szansonistce i zapragnął ją mieć na swój prywatny użytek, zalegalizowany aktem ślubnym. Mistrz w chwytaniu koni na lasso, zastosował do Cherrie uproszczony proceder: wpakował gwiazdkę przemocą do autobusu międzymiastowego i oto wiezie ją na własne rancho, hen w Montanie. Aliści dziewczę, na ogół dość przystępne, tym razem się znarowiło. Sześćdziesiąt krów rasowych, a niechby i setki owiec, nie zastąpią neonów wielkomiejskich. Konflikt dojrzał już w wehikule, dalsze perypetie nastąpią na scenie, na przystanku „Zacisze", dokoła którego na przekór nazwie szaleje śnieżyca. Potworzyły się niepokonalne zaspy, autobus postoi kilka godzin nocnych.

Sprawa jest jasna jak słońce, sztuczka prosta — i dobra jak chleb, powiedziałby Francuz, bo ten kowboj Bob, mimo zamachu na niezawisłość Cherrie, to żaden chuligan, wręcz przeciwnie — naiwny chłopak, niewinny w sensie seksualnym, o umyśle raczej dziewiczym, niemniej gospodarny i co też nie jest do pogardzenia — całkiem przystojny. Cóż kiedy dzisiejsi intelektualiści przepadają za komplikowaniem rzeczy prostych. Pierwszy zaczął autor, William Motter Inge. Dziennikarz, jakiś czas recenzent teatralny, zapatrzony w swego sławnego rówieśnika, Tennessee Williamsa, umyślił pogłębić swoją poczciwą sztuczkę „Bus Stop" lekką dozą psychopatii. Zadanie to spełnia osoba dra Lymana, neurastenika, pomawianego o zboczenia, postać z tego powodu niezbyt fortunnie wybrana do reprezentowania sfer uniwersyteckich Kansas, z którymi autor miał kiedyś ściślejszy kontakt jako niedoszły pedagog.

Dalsze stadium pogłębiania „Autobusu do Montany" następuje w realizacji scenicznej. Stary kawaler z przypadku czy upodobania, towarzysz i poniekąd opiekun Boba, kowboj Joe, otrzymuje od reżysera piosenkę z melancholijną puentą - konkluzją, iż w biedzie człowiek „zostaje sam". Melodia brzmi ładnie, słucha się jej na początku i końcu spektaklu z przyjemnością, dlaczegożby więc reżyser miał odmówić sobie wprowadzenia efektownej „klamry"? Klopot tylko z tym, że wskutek owego efektu nasz „Autobus..." zyskuje ni stąd, ni zowąd reputację sztuki o samotności i komentatorzy jęli na gwałt podciągać wszystkie postacie pod samotnictwo. Niewiele brakowało, a skromny „Bus Stop" byłby się otarł o twierdzenie Sartre'a, iż człowiek jest wprawdzie istotą stadną, lecz dusza jego zawsze jest samotna. Ale nie denerwujmy się, roztropnym komentatorom zależy jedynie na uwypukleniu amerykańskiej odmiany samotności, tej wśród przerostów cywilizacji materialnej. Zgoda więc, coś takiego z pewnością istnieje. Tylko nie w „Autobusie". Z problemem samotności po amerykańsku trzeba zaczekać do realizacji przyrzeczonej „Szklanej menażerii" Williamsa. Wyprzedzanie faktów prowadzi do nudnego międlenia tematów.

Skoro już chodzi o problemy (a wszak chodzi permanentnie), to przypomina mi się taka stara komedia pt. „Powódź", pióra zapomnianego H. Bergera. Wymieniam tę rzecz gwoli sytuacji podobnej do pokazanej w „Bus Stopie". Tu zamieć śnieżna, tam rzeka wylała i też odcięła przygodną grupę ludzi od świata. Dopieroż mamy nielichą próbę charakterów! Otóż szyderca Boy proponował swego czasu zlikwidować groźbę katastrofy i zmienić tytuł „Powódź" na „Imieniny", zapewniając, że sztuka, jeśli i straciłaby na głębi, zyskałaby w zamian na pogodzie ducha. William Inge niejako spełnił życzenie Boya w 35 lat później. „Autobus do Montany" jest pozycją wybitnie relaksową, ze swym sensacyjnym wątkiem, przygodą w podróży, atrakcyjnymi postaciami kowbojów i szansonistki, z piosenkami, strip-teasem, ba — z niespodziewaną sceną balkonową Romea i Julii (przydał się przecież tutaj dr Lyman, jako partner pilnej licealistki Elmy). Sztuczka to naprawdę miła dla każdego, barwna, solidnie wyreżyserowana przez **Andrzeja Uramowicza** i będą na nią chodzić tłumy, ale na miłość boską nie podawajmy jej za to, czym nie jest.

Niemałym szkopułem w pracy reżyserskiej musiało być ustawienie sytuacji dla licznych obecnych na scenie osób w momentach, kiedy dialog jest prowadzony „parami". Trudność tę reżyser w większości wypadków pokonał. Aktorom należą się same wyrazy uznania. **Jolanta Bohdal** (urocza w swej skromności Elma), **Zyta Polomska** (Gracja, prosta i szczera „słomiana wdówka", właścicielka baru przydrożnego), **Jerzy Felczyński** (kowboj Joe, prawy, raczej powolny powolnością człowieka pogrążonego w refleksjach, choćby i zwykłych, ludzkich) — każdą nową postacią dają dowód nieprzeciętnej rozpiętości swego talentu.

Z prawdziwą pasją zagrał Boba **Kazimierz Siedlecki**, **Elżbieta Święcicka** (Cherrie, standardowa dziewczyna z amerykańskiego półświatka) nareszcie doczekała się dużej roli, w której mogła uwydatnić z wdziękiem swoje dyspozycje artystyczne; nieskomplikowany kierowca autobusu Karol zaprezentował się korzystnie w wykonaniu **Adama Cieślaka**; budził również sympatię miejscowy szeryf Will Masters (**Włodzimierz Wiszniewski**), taki „swój", mimo odrobiny mentorstwa przynależnego do sprawowanego urzędu. No i **Stanisław Olejarnik** wcielił się z całą dobrą wolą i umiejętnościami warsztatowymi w drogą autorowi postać intelektualisty — degenerata, jakoś jednak nie wywołującego zgrozy.

Dekoracja **Liliany Jankowskiej**, utrzymana w nastroju paseistycznym, jest jeszcze jednym osiągnięciem artystki, której styl polega na tworzeniu poezji, rzekłoby się, z natłoku rekwizytów i szczególików architektonicznych.

M. B.-R.

Filharmonia jubilatem

(Dokończenie ze str. 4)

Dalszym naturalnym stadium rozwoju symfoniki w Lublinie musiało być nadanie orkiestrze godności Państwowej Filharmonii, co też nastąpiło w końcu listopada 1949 r.

Nie czas przy święcie na rozpamiętywanie różnych chorób wzrostu, jakie przechodziła placówka, zwłaszcza na początku swej dwudziestoletniej drogi ewolucyjnej (w okresie dojrzałości — dała się dyrekcji i artystom najbardziej we znaki bezdomność, skutek niebywale długotrwałego remontu). Na szczęście główne trudności są już pokonane. Zwalczał je z mniejszym lub większym powodzeniem każdy z dziesięciu byłych kierowników artystycznych i dyrygentów. Szczególne uznanie powinien mieć Lublin, jak sądzę, dla zasług Zygmunta Szczepańskiego, Adama Wyleżyńskiego, Roberta Satanowskiego, Olgierda Straszyńskiego i niewątpliwie Andrzeja Cwojdzińskiego, który wytrwał na placu chyba najdłużej, bo ponad siedem lat. Należy jednak życzyć zasłużonej orkiestrze, by na przyszłość nie wstrząsały nią zbyt często rewolucje pałacowe. Natomiast pogratulować jej można stabilności własnego składu. Na liczbę 64 instrumentalistów dzisiaj w niej zatrudnionych jest aż dziesięciu muzyków pracujących od momentu powstania Lubelskiej Orkiestry Kameralnej, dwudziestu ośmiu — po lat kilkanaście.

A oto w końcu kilka słów o trudach Filharmonii im. Wieniawskiego na obecnym jej etapie, rozpoczynającym się 1.I.1964 r., od momentu powołania na stanowisko dyrektora i kierownika artystycznego Mariana Lewandowskiego.

Orkiestra Filharmonii jest w zasadzie stacjonarna, jednakże plan jej działalności przewiduje 12—20 występów w terenie (liczba waha się w zależności od zamówień terenowych). Zadanie umuzykalnienia spełniają w głównej mierze kameralne audycje szkolne, obsługiwane przez ekipy czteroosobowe z prelegentem. Dzisiaj akcja ta obejmuje 74 szkoły średnie.

Dyr. M. Lewandowski pokłada duże nadzieje w patronatach sprawowanych przez niektóre zakłady pracy nad poszczególnymi koncertami. Czym jest taki patronat? Otóż patronujący zakład wysyła na określony koncert (niekoniecznie popularny) kilkunastoosobową delegację do siedziby Filharmonii, organizuje też z kolei u siebie w klubie spotkania z wybitnymi solistami itd., itd. Wytwarza się klimat sprzyjający popularyzacji muzyki. Tym celom służy również akcja letnia przeznaczona dla zakładów pracy i realizowana w ich ośrodkach wypoczynkowych, powiedzmy — w Firleju czy nad jeziorem Białym.

Plan repertuarowy Państwowej Filharmonii im. Henryka Wieniawskiego przewiduje na bieżący sezon, obok koncertów muzyki poważnej, spory cyki nobilwych koncertów rozrywkowych. Dyrekcja wprowadza to założenie konsekwentnie w życie, znalazła tu, zdaje się, wyraz tendencja ogólnopolska, wywołana nakazami planu finansowego. Są to rzeczy do dyskusji na innym miejscu, na razie wystarczy stwierdzić, że o repertuarze decyduje nie tylko dyrekcja, nie tylko ministerstwo i wydziały kultury, ale i w sposób pośredni, poprzez frekwencję — społeczeństwo. Popularyzacja muzyki poważnej jest więc kwestią rezultatów akcji umuzykalniającej, kwestią czasu. Wydaje mi się, że to właśnie ma na względzie obecnie kierownictwo naszej Filharmonii, unikając utworów skrajnie elitarnych nawet w programach koncertów poświęconych muzyce poważnej. Taki np. „Ognisty ptak" Strawińskiego (nie wywołujący już zresztą dawna batalii na salach koncertowych) zostanie wykonany dopiero w ramach małego festiwalu z okazji XX-lecia placówki — dla honoru domu...

Lubelska orkiestra symfoniczna osiągnęła po dwudziestu latach stopniowego doskonalenia się wysoki poziom artyzmu. Niedawno np. byliśmy świadkami wykonania con brio Folii op. 5 nr 6 Arcangella Corellego w instrumentacji Tadeusza Machla, pod batutą Adama Natanka. Warto też wspomnieć ze szczególną satysfakcją o monumentalnym montażu z opery „Faust", wykonanym pod dyrekcją Mariana Lewandowskiego, z udziałem świetnych solistów, orkiestry symfonicznej i chóru T-wa Śpiewaczego „Echo". Był to wzór koncertu popularnego słusznie budzącego entuzjazm słuchaczy.

O koncertach pisze się na co dzień dużo mniej niż o spektaklach teatru dramatycznego, który się ocenia walnie i nagminnie. Tymczasem działalność filharmonii jest podwójnie ważna: nie tylko sięga ona głęboko w masy, ale i udostępnia miłośnikom muzyki światowe osiągnięcia artystyczne w zakresie kompozycji i wykonawstwa.

W dniach uroczystego jubileuszu Państwowej Filharmonii im. Henryka Wieniawskiego w Lublinie życzmy zasłużonej placówce jak największych sukcesów artystycznych i organizacyjnych, wiele uznania i popularności w społeczeństwie, któremu służy.

Maria Bechczyc-Rudnicka

Gdybym był przewodniczącym Prezydium MRN...

(Dokończenie ze str. 8)

Lublina możliwość relaksu w Nałęczowie.

Spośród wszystkich problemów poruszonych przez uczestników ankiety dwa wybijają się zdecydowanie. Są to: kultura i nauka.

Jeśli chodzi o życie kulturalne naszego miasta, 21 głosy padły za budową nowych obiektów sportowych i kulturalnych. 10 osób sygnalizuje potrzebę dalszego ożywienia życia kulturalnego w mieście, zwiększenia liczby imprez estradowych (1), zwłaszcza z udziałem artystów zagranicznych (1), częstszego organizowania odczytów o tematyce współczesnej (1), spotkań radnych ze studentami (1) itd.

Obniżenie się poziomu teatru i operetki oraz ich repertuar budzi obawy czterech osób, podobnie jak zbyt mała liczba klubów młodzieżowych (1 głos). Ciekawy też wydaje się projekt przekształcenia którejś kawiarni na lokal bezalkoholowy oraz propozycja zbudowania na terenie LSM domu kultury.

Najbardziej ostre słowa krytyki padły pod adresem obiektów, które szpecą miasto i — zdaniem uczestników ankiety — ośmieszają je w oczach przyjezdnych. Przede wszystkim należy zlikwidować kino „Koziołek" (11 głosów), następnie kino „Staromiejskie" (1) oraz „Bar Tatarski" (1).

I wreszcie problem nauki. Studenci apelują do Prezydium MRN o pomoc w dalszej rozbudowie ośrodka naukowego (4 głosy), wykazanie większej troski o sprawy młodzieży w ogóle (2), zaś jej potrzeb bytowych w szczególności (6), a więc m. in. rozwiązanie problemu stancji, za które niejednokrotnie płaci się wygórowane sumy. (Czy nie można ustalić urzędowej opłaty?). I oczywiście trzeba budować nowe domy akademickie (18 głosów), aby coraz liczniejszym zastępom studiującej młodzieży zapewnić właściwe warunki do pracy.

Tak wyglądają w skrócie propozycje uczestników ankiety. Nie ulega wątpliwości, że nie wszystkie wnioski są realne, niektóre mają charakter długofalowy, wiele jednak można zrealizować stosunkowo szybko i tanim kosztem (np. problem czystości, zieleni itd.). Wydaje się, że nowa Miejska Rada Narodowa powinna zapoznać się z postulatami młodzieży akademickiej i szkolnej poprzez zorganizowanie szeregu spotkań radnych ze studentami poszczególnych uczelni, ich wydziałów, czy sekcji. W ten sposób zebrany materiał dałby pełniejszy obraz potrzeb miasta, które z konieczności przeprowadzona przez nas ankieta mogła tylko częściowo zasygnalizować.

Elżbieta Rosiakowa

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆Teatr poezji „Rapsod" dał już trzecią premierę — „Mindowe" Słowackiego. Jest to chyba jedyny teatrzyk w Polsce, w którym cały zespół aktorski, inscenizator i reżyser to jedna i ta sama osoba — aktorka Karina Waśkiewicz.

◆Przeszło dwa tygodnie czynna była w Gołdapi wystawa plastyków białostockich, zorganizowana przez WKZZ.

◆W klubie „Siedmiu" przy współpracy z wydziałami kultury prezydiów WRN i MRN odbył się konkurs na 10 najlepszych piosenkarzy Białegostoku. Zwyciężyła Irena Łazarczyk, wychowawczyni z przedszkola.

◆W ciągu ostatnich 4 lat komitety rodzicielskie w województwie zakupiły dla szkół pomoce szkolne wartości 20 mln zł. Ponadto wiele komitetów prowadzi społecznie rozbudowę szkół. M. in. w Bielsku Podlaskim zbudowano w ten sposób 2 sale, w Grajewie — 6, a w Białymstoku rozbudowuje się warsztaty technikum elektrycznego.

KIELCE

◆24 kwietnia został oddany do użytku w Kielcach piękny i nowocześnie wyposażony Dom Technika. Poza wielu pomieszczeniami na pracę twórczą posiada on część klubowo-towarzyską.

◆Biblioteki powiatowa i miejska oraz liceum ogólnokształcące w Sandomierzu zorganizowały wystawę, poświęconą Stefanowi Żeromskiemu. Szczególnym zainteresowaniem cieszyły się ilustracje do jego książek, wykonane przez uczniów z koła pojonistów.

◆Ponad 7 tys. artystycznych pisanek wykonała już Maria Pacan ze wsi Bielowice pod Opocznem. Jej pisanki były już na wystawach w wielu miastach, a „pisarka" zdobyła m. in. dwie nagrody Min. Kultury.

◆W Pińczowie odbyło się trzydniowe seminarium dla aktywu społecznego klubów Ruchu, klubów Rolnika i świetlic gromadzkich z powiatów Pińczów, Busko i Kazimierza Wielka.

◆SFOS przyznał dotację na budowę pawilonu wystawowego, który będzie wykorzystywany zarówno przez plastyków i artystów ludowych jak i przemysł. W każdym razie będzie to pierwsza sala wystawowa w Kielcach. Ostatnio np. pierwszą w mieście wystawę prac Nikifora umieszczono w pomieszczeniach spółdzielni „Chemiplastyka".

LUBLIN

◆Latem ub. roku całą Polskę obiegły fotografie radzieckiego fotoreportera wojennego Michała Trachmana. Wydawnictwo Lubelskie podpisało już umowę na wydanie albumu 200 zdjęć Trachmana.

◆Mimo rozlicznych przeszkód kabaret „Czart" wciąż istnieje i 1 maja dał już 16 premierę, tym razem pod aktualnym tytułem „Prosimy o głos". Dobry program!

◆Z okazji Dni Kielc w studenckiej Chatce Żaka otwarto wystawę fotografiki pt. „W krainie Żeromskiego". Po otwarciu odbyło się spotkanie z Waldemarem Babiniczem, który mówił o problemach kulturalnych wsi, zwłaszcza kieleckiej.

◆Lubelskie „Radio Akademickie" odniosło niemały sukces w Ogólnopolskim Konkursie Radiowęzłów Studenckich na audycję poświęconą Ziemiom Zachodnim. Wśród 30 audycji nadesłanych ze wszystkich ośrodków studenckich audycja lubelska zajęła 4 miejsce.

RZESZÓW

◆W 1960 r. WRN podjęła specjalną uchwałę w sprawie ożywienia działalności kulturalnej na wsi. Od tego czasu w województwie przybyło m. in. 6 domów kultury, 76 bibliotek publicznych lub ich filii, 160 czytelń, 80 tys. czytelników, 667 tys. woluminów. W budowie 84 dalsze obiekty.

◆Od kilku lat w dzielnicy Siarka w Tarnobrzegu stała niewykończona i oczywiście nieczynna kotłownia. Ostatnio ruszyły tam roboty — na Barburkę w 14 pomieszczeniach rozgości się Młodzieżowy Dom Kultury. Koszt wykończenia i przeróbki 1,8 mln zł.

◆Rafineria nafty w Niegłowicach przekazała 200 tys. zł na budowę Pow. Domu Kultury w Jaśle, dzięki czemu budowę będzie można rzeczywiście rozpocząć.

KONKURSY

Wydział Kultury WRN, Państwowe Wydawnictwo „Iskry", Zarząd Wojewódzki ZMS w Kielcach ogłaszają konkurs otwarty na współczesne opowiadanie związane tematycznie z Kielecczyzną.

Prace w 3 egzemplarzach, opatrzone godłem o objętości nie przekraczającej 20 stron maszynopisu, należy przesyłać pod adresem: Wojewódzka Rada Narodowa — Wydział Kultury — Kielce, Pl. Zamkowy 1 w terminie do dnia 20 czerwca 1965 r. (decyduje data stempla pocztowego). W osobnej zalakowanej kopercie należy podać nazwisko i imię oraz adres.

NAGRODY:

I w wysokości 3000 zł,
II w wysokości 2000 zł,
III w wysokości 1000 zł,
3 wyróżnienia po 2000 zł.

Skład jury:

Waldemar Babiniec, Henryka Broniatowska, Barbara Olszańska, Karol Strug.

Rozstrzygnięcie konkursu i wręczenie nagród nastąpi we wrześniu 1965 r. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

* * *

Redakcja Literacka Polskiego Radia w Lublinie ogłasza kolejny:

KONKURS BEZ NAGRÓD

Przedmiotem konkursu są: opowiadania współczesne związane tematycznie z Lubelszczyzną. Najlepsze prace honorowane będą według maksymalnych stawek Polskiego Radia:

I 40 zł za minutę,
II 35 zł za minutę,
III 30 zł za minutę.

Opowiadania nie powinny przekraczać 10 stron maszynopisu. Utwory opatrzone godłem i kopertą zawierającą nazwisko autora należy nadsyłać do 10 czerwca 1965 roku do Redakcji Literackiej PR w Lublinie, ul. Obrońców Pokoju 2.

Skład jury, do którego wejdą przedstawiciele wszystkich lubelskich redakcji, podany zostanie w terminie późniejszym.

Już nie Kleryków...

(Dokończenie ze str. 3)

dy w Opocznie. Obok inżyniera i dyrektora wielkich nowoczesnych zakładów produkujących kamionkowe płytki widziałem gospodynie wiejskie z Paradyża i Studzianny. Robotnik z kopalni „Biała Góra" będzie w przyszłej Powiatowej Radzie zasiadał obok młodej, zdolnej i cenionej w Opocznie lekarki.

To nie jest, oczywiście, żadna rewelacja. Bo jakże mogłoby być inaczej w Ludowej Rzeczypospolitej!

Z ołówkiem w ręku

Trwają teraz przedwyborcze zebrania. Rachujemy na nich, podliczamy, rozmawiamy o tym, co na Ziemi Kieleckiej zostało zrobione przez dotychczasowe rady, przez nas wszystkich. 22 i pół miliarda złotych wydaliśmy na inwestycje przemysłowe. Nowe fabryki i zakłady dały pracę nowym tysiącom ludzi. Ludność naszych miast wzrosła o 48 tysięcy. Taki hutniczy Ostrowiec do niedawna był jeszcze miastem niewiele ponad 20 tysięcznym. Dzisiaj to miasto pretenduje do innego oznaczenia na mapie województwa i kraju, chce większego kółka — liczy 40 tysięcy mieszkańców. A w stolicy województwa niedawno urodził się stutysięczny obywatel, Marek Mraz. Fetowali go wszyscy z przewodniczącym Szmajdlem — niebywale. Jak jakie książątko!

Nowe miasto

Kielce są przedziwnym miastem. Żeromski widział w nim — i z gorzkim sarkazmem to wypominał — Kleryków i Łżawiec — tak bardzo dla Marcinków Borowiczów i Jasiów Raduskich nielaskawe.

Zastępca przewodniczącego Miejskiej Rady, inżynier Jerzy Żarek, jest architektem i ma on własne koncepcje urbanistyczne Kielc. A więc stare śródmiejskie dzielnice, odnowione jak „marienszatty", a przy tym nowe Kielce rozsiadające się szeroko aż gdzieś pod Karczówkę, Szydłówek, zajmujące Czarnów, który tak jeszcze niedawno był pustkowiem. Z mojego balkonu na trzecim piętrze patrzę wieczorami na feerię świateł wielkich Kielc, od czerwonych oczu wieży radiowej wmontowanych w południowe niebo Baranówka, po pełne białego światła, szklane „inspekty", fabrycznych hal KZWM i „Armatur". I to są właśnie te Kielce zbrojone w naszych latach w przemysłowy, ciężki oręż. Kieleccy radni i posłowie na Sejm mówili często ludziom w czasie spotkań przedwyborczych, że w ubiegłej kadencji wybudowaliśmy w województwie 56 tysięcy izb mieszkalnych, 267 szkół i 1 625 kilometrów dróg. Można być zadowolonym z takiej pracy. Można z czystym sumieniem i twarzą przychodzić do ludzi, przedstawiać im nowe rachuby, zamiary, poczynania, fantazje.

Rolnictwo i przemysł

Teraz ruszamy na rolnictwo. Turysta przyjeżdżający do Kielc, wędrujący po Świętokrzyskich Górach, wędkujący na Nidzie w Pińczowie, czy nad złotą podkielecką Lubrzanką, albo zgoła gdzieś na Wiśle, tej rolniczej biedy może nie widzieć. Bo naród wiejski u nas gościnny — wszędzie dadzą kartofli z zsiadłym mlekiem, a nawet ktoś akurat świntucha palnie w łeb, jak to często bywa w Bodzentynie czy w Słupi, krupniaki dorodne, gorące są, kiełbasa arcyprzednia z czosnkiem, boczek kunsztownie uwędzony w olszynowym drzewie, a w najgorszym razie płat zwykłej surowej słoniny z cebulą do smaku...

Ale my, siedzący na tej ziemi, wiemy, co dolega naszemu rolnictwu. W Sandomierskim, Pińczowskiem, czy Kazimierskim jeszcze jako tako. Chłop tam na tłustej pszenno-buraczanej ziemi trudzi się burakami, tytoniem, cebulą, rzepakiem, truskawką — czym się da z władzą ludową handluje, on i władza zadowoleni są; wspólne korzyści łączą...

Ale gdzie indziej — w Lipsku czy takiej Przysusze, albo pod Kielcami, gdzie tylko kwarcyt świetnie nam obrodził, mało zbierają rolnicy nawet zbóż i ziemniaka. Stąd też, jak to formułuje Program Wyborczy, *„niska obsada bydła i trzody chlewnej na 100 ha, niskie zbiory siana i innych pasz objętościowych, niska wydajność mleka. Wszystko to wpływa hamująco na rozwój innych gałęzi gospodarki narodowej, a jednocześnie obniża dochodowość samych gospodarstw chłopskich... W naszym województwie wydajność z ha jest przeciętnie niższa o 2 kwintale od średniej krajowej. Nie wolno nam zapominać, że zapotrzebowanie na produkty rolnicze w naszych warunkach wzrasta z roku na rok, że około 60 procent ludności naszego województwa utrzymuje się z rolnictwa..."*

I stąd — w najbliższym planie pięcioletnim same tylko rady narodowe wydadzą na podniesienie chłopskiej gospodarki aż 2 miliardy 776 milionów złotych. Musimy zintensyfikować rolną produkcję, a przede wszystkim zapewnić warunki dla wzrostu produkcji roślinnej.

Franciszek Wachowicz, I sekretarz KW PZPR, mówił na pierwszomajowej akademii o dalszych rozległych obszarach rozwoju kieleckiej gospodarki. A więc przemysł, tak przemysł, bo w nowej pięciolatce otrzymujemy kilkadziesiąt miliardów złotych na jego rozbudowę.

Przemysł to gardłowa sprawa. Nam, w kieleckim województwie, w najbliższych pięciu latach dorasta „wyż demograficzny" — sto tysięcy młodych ludzi upomni się o pracę! I dlatego obchodzi nas każdy nowy zakład, najmniejsza nawet przemysłowa manufakturka, w przemyśle terenowym, w spółdzielczości, w handlu.

Najlepsza z... Opoczna

Bywałem ostatnio dosyć często w Opocznie. To miasto znane jest ze swego kolorowego folkloru, pieśni, tańca (*„dobra poleczka, bo skoczna, ale najlepsza z Opoczna"*). Dla przypomnienia: to przecież wcale nie do Łowicza, ale właśnie do Opoczna przyjeżdżał profesor Sygietyński w pierwszym okresie tworzenia „Mazowsza". Tutaj z miłością zbierał ludowe pieśni, które potem tak artystyczny, narodowy niemal, otrzymały wyraz.

W Opocznie żyje też Bolesław Wojewódzki. Tu znają go i mówią zawsze o jego nadwrażliwości na piękno opoczyńskiego folkloru. Ten człowiek przejdzie do historii opoczyńskiej, kieleckiej kultury.

Od lat już Bolesław Wojewódzki uparcie zabiega o Muzeum Ziemi Opoczyńskiej. Jest w Opocznie zamek kazimierzowski, który największy wśród naszych królów Casanowa zbudował piękne Esterce. Historia przewaliła się przez ów zamek, ale on stał cały, i dziś, jak może, służy muzycznemu ognisku i szpitalowi.

Ale w Opocznie buduje się nowy, piękny szpital. Oglądałem go; pan Bolesław tam mnie prowadził. I już nowym radnym powiatowym i miejskim przypadnie wdzięczne dzieło pilnowania, kontroli terminów budowy lecznicy. A ten zamek — kartuje sobie Bolesław Wojewódzki — poeta i społecznik, akurat, jak ułał, pasuje i czule przyhołubi w swych wnętrzach owo wyśnione Muzeum.

I w tym również pomogą nowi opoczyńscy rajcowie. Od pierwszych dni nowej kadencji dwie piękne prace — ratowanie ludzkiego zdrowia i ratowanie bezcennych pamiątek kultury opoczyńskiego ludu.

Kielecczyzna. Ziemia Świętokrzyskich Gór. Ziemia wielkich ludzi w przeszłości, ich wielkich czynów i dzieł. Dzisiaj — ziemia ludzi pięknych, tworzących swoją pracą dzieła dobre i mądre. Nowa pięciolatka da ludziom nowe miejsca pracy, a w nich zarobek, możliwości stałego podnoszenia własnego dobrobytu. 30 maja pójdziemy do urn wyborczych, oddając głosy na posłów do Sejmu socjalistycznego państwa, na radnych do rad narodowych, którzy w imieniu i z upoważnienia ludzi pracy wprowadzać będą w codzienne życie wytyczne wyborczych programów.

Tadeusz Bartosz

WIOSNA W BIESZCZADACH

(Dokończenie ze str. 7)

Ustrzyki uzyskały prąd elektryczny. Doprowadzenie go do mieszkań byłoby tu sprawą wyjątkowo prostą.

Kolonia nie ma światła elektrycznego. Interweniowali parokrotnie — bez większych rezultatów. Jedenaście gospodarstw, nad którymi wisi konieczność pierwszych spłat kredytów zaciągniętych w banku nie zdołała zbudować transformatora i linii własnymi siłami. Potrzebna tu jest pomoc rady narodowej i to pomoc możliwie najszybsza.

Na własnych nogach

Przykład rodziny G. nie należy może do najbardziej typowych dla procesu osadnictwa w Bieszczadach. Zawiera szereg przypadków indywidualnych, kłopotów i trudności, które trudno uogólniać.

Praktyka bieszczadzka mówi, że stanąć na własnych nogach można nie po dwóch, trzech, ale po sześciu, siedmiu latach wytężonej pracy. Dlatego władze powiatów bieszczadzkich występują o przedłużenie okresu, w którym osadnik musi spłacać pierwsze raty zaciągniętej pożyczki i o inne dla niego ulgi.

* * *

Po ostatecznych korektach i zmianach w Bieszczadach do 1964 roku miało się osiedlić 1527 osadników. Objęło gospodarstwa — 857.

W powiecie leskim sprzedano tym osadnikom ponad 1100, w ustrzyckim około 4000 hektarów ziemi. Masowego rozwoju osadnictwa indywidualnego, jakiego spodziewano się jeszcze kilka lat temu, nie zanotowano dotąd w żadnym z powiatów bieszczadzkich.

Władze powiatów nie zabiegały zresztą o efektowną statystykę. Kierowanie ludzi na tereny, gdzie wprawdzie jest wolna ziemia, ale nie ma dróg, domów, szkoły i sklepu wymaga pełnej odpowiedzialności.

Dlatego też powiat leski dysponujący wielką rezerwą wolnej ziemi oferuje w roku bieżącym czterdzieści gospodarstw we wsiach mieszczących się przy pięknej bieszczadzkiej obwodnicy. Sześćdziesiąt gospodarstw przeznacza do sprzedaży powiat ustrzycki. Reszta przygotowywanych gruntów sprzedawana będzie w przyszłości bądź osadnikom indywidualnym, bądź wezmą je w użytkowanie państwowe gospodarstwa rolne dla stworzenia dużych gospodarstw rolniczo-hodowlanych, lub wreszcie pójdzie na powiększenie istniejących gospodarstw.

Zagospodarowanie Bieszczadów nie przebiega w atmosferze idylli. Efekty gospodarcze nie przychodzą tu ani łatwo, ani szybko...

Ale przecież są! Zrozumieć to można gdy się przymierzy je do tutejszych możliwości.

Oto przykład powiatu ustrzyckiego z ostatniej kadencji rad narodowych. Zagospodarowano dalsze półtora tysiąca hektarów gruntów Państwowego Funduszu Ziemi tak, że obecnie pod uprawą znajduje się tu ponad 7000 hektarów. Przeprowadzono prace melioracyjne na powierzchni około 160 hektarów. O ponad 200 hektarów zwiększył się obszar uprawy buraka, a prawie o 650 hektarów roślin pastewnych. Zanotowano wzrost pogłowia bydła o 2790 sztuk. Zelektryfikowano dalszych 17 wsi, zamiast planowanych pięciu.

Przykładów podobnych znaleźć można więcej.

* * *

Znowu odwiedzam w Bieszczadach ludzi w ich nowo wzniesionych domach, rozmawiamy o czasach, gdy spali w prymitywnych budach, gdzie zimą włosy przymarzały do poduszki. Wspominamy kłopoty i trudności tych dni, kiedy stawali się właścicielami gospodarstw, które często w zasięgu ludzkiego wzroku nie miały swoich sąsiadów. Jak ściśle wiąże się tu los człowieka z losem terenów umożliwiających z roku na rok coraz lepszą egzystencję! Jak ogromną rolę odgrywają tu praca, upór, cierpliwość i czas.

Adolf Jakubowicz

Najlepszą formą terminowego otrzymywania „Kameny" jest prenumerata

Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje Kolegium: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mikulski, Jerzy Pieśniarowicz, Stefan Wolski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7. Telefon 2-34-49. Redakcja rękopisów nie odsyła. Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu", zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,48; półrocznie zł 36,48; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Lublin — Unicka 4.

Zam. 1531 4.V.65 5000. H-4.

Chas. 11049/32/9

KIELECKIE OSTY i chosty

Reklama

Nowy kielecki Międzynarodowy Klub Książki i Prasy „Ruch" jest podobno jednym z najpiękniejszych oddziałów w kraju. Sale i wygodne miejsca nie są jednakże przepełnione, a jeżeli niektóre osoby przychodzą, to raczej siedzą nad kawą przy plotkach traktując klub jako jeszcze jedną kawiarnię. Ubolewa się nad tym powszechnie, boć dużo tu ładnej prasy, a ludzie nie czytają, załatwiając inne sprawy.

I nagle od kilku dni zanotowano duże ożywienie. Sprawiła to notatka w „Słowie Ludu" i wiadomość w radio — o kradzieży w klubie. Łupem włamywaczy padło 500 złotych gotówką i dwie szyby w drzwiach — razem około tysiąca złotych. Koszt niewielki, a reklama taka szeroka! Ludzie przychodzą zobaczyć i przy okazji zasiadają przy prasie. Spotkałem kilku, którzy przyznali, że są po raz pierwszy — z ciekawości po tych wiadomościach. Może by więc częściej robić coś takiego, a przyrodzona ludziom ciekawość i skłonność do sensacji napełni Klub!?

Fasadowość

Nie ma bardziej popularnego polskiego pisarza na świecie jak Henryk Sienkiewicz. Turyści krajowi i zagraniczni bardzo chętnie jadą więc do podkieleckiego Oblęgorka, by zwiedzić pałacyk, w którym pisarz spędził ostatnie lata życia. Pałacyk odremontowano za pieniądze SFOS-u i oddano do eksploatacji. Są tam liczne meble i pamiątki, rozmieszczone tak, jak stały za życia laureata Nobla. Z frontu pałacyk wygląda jako tako, ale niech no gość wyjdzie na zewnątrz i zechce obejść go wokoło! Nie otynkowane, a już rysujące się mury, przyłepiona doń, waląca się rudera z drzewa — robią przygnębiające wrażenie.

W Oblęgorku miano uporządkować otoczenie pałacyku, park i klomby, miano założyć centralne ogrzewanie, bo książki w zimie butwieją. Tymczasem nie dzieje się nic. Czy SFOS może tylko odbudowywać ruiny? Bo może to jest główną przeszkodą!?

Spór o nazwę

Kieleckie Zakłady Wyrobów Metalowych, znane pod tradycyjną nazwą SHL, produkują bodajże najlepsze motocykle w Polsce. Listy pochwalne z całego kraju potwierdzają tę opinię. Ale zakład ma ambicje jeszcze większe. Chodzi o wyprodukowanie modelu „super" — o pięknej linii aerodynamicznej, z wielu usprawnieniami technicznymi i ulepszeniami. Wykonano już protoyp tego cudu i wtedy podniosły się głosy, nawet w prasie, rozstrzygające słuszność proponowanej nazwy dla „nowalijki motorowej". Jak zawsze, spierają się „tradycjonaliści" z „postępowcami". „Tradycjonaliści" upodobali sobie nazwę „Bartek" — bo to nazwa kielecka (dąb „Bartek" — 1000 lat pod Zagnańskim!). Twierdzą, że dzięki temu każdy będzie wiedział, iż motocykl z Kielc. Na to „postępowcy" wysuwają projekt nazwy „Gazella" — co ma być zrozumiałe i międzynarodowe, nasuwa na myśl rączość i smukłość kształtu itp. Mają oni za sobą argument eksportu, bo SHL-ki idą do wielu klajów na świecie i tam lepiej przyjmie się „Gazella" niż „Bartek". Spór trwa, a tymczasem motocykl nie wchodzi do produkcji, bo są pewne kłopoty natury techniczno-kooperacyjnej. Oj, przypominają się scholastyczne spory i dzielenie skóry na niedźwiedziu! A może dać obie nazwy: jedną na eksport, drugą na kraj? Zgodnie z praktyką orzecież — zawsze ten eksportowy produkt odbiega nieco od krajowego?!

Recepta

Znane są kłopoty kieleckiego teatru i Państwowej Orkiestry Symfonicznej ze zdobywaniem widowni i słuchaczy. Objaw to chyba powszechny także poza Kielcami. Warto więc rozważyć projekt, jaki zrodził się na, podobno poważnej, naradzie aktywu kulturalnego, gdzie biadano nad upadkiem dobrych obyczajów konsumpcji dóbr kulturalnych. Mówcy kolejno określili główne niebezpieczeństwo, którym jest import zespołów i „ansambli" z zewnątrz. Ktoś zaryzykował twierdzenie, że sprowadzanie państwowego zespołu „Śląsk" jest niedobre, bo to odciąga od teatru, a przecież to tylko „podkasana sztuka"! Na to jeden z mówców wysunął wniosek krańcowy i ponoć skuteczny: „zamknąć granice województwa dla obcych zespołów jak operetek, rewii, państwowych zespołów pieśni itp. Wtedy ludzie będą musieli przyjść do swoich! A jeżeli będą woleli telewizję? To może wieczorem wyłączać jeszcze prąd wszędzie, z wyjątkiem instytucji kulturalnych, lub grać przy lampach naftowych?! To by było atrakcyjne!

R. Pod.

NOTY

„KULTURA" obchodziła mały jubileusz: ukazał się właśnie setny numer tego pisma. W artykule redakcyjnym czytamy m. in.: „W skomplikowanych okolicznościach narodziło się nasze pismo. Zespołowi, który je prowadzi, nie szczędzono z różnych stron ataków i zaskakujących czasem pomówień... Nie skarżymy się. Każdy zespół, który podejmuje działalność cokolwiek społecznie znaczącą, musi być przygotowany nie tylko na krytykę, lecz również na ataki nie zawsze lojalne. Nazywa się to po prostu: walka". Jubileuszowy numer przez zwykły przypadek ukazał się w dniu 9 maja — Dniu Zwycięstwa.

Z ROZSĄDNYM i interesującym apelem wystąpił „Przekrój". Adam Macedoński przedstawia pamiątkę wrocławską z 1990 r.: jest to papierośnica z wygrawerowanym napisem: „Druhowi Adamowi Rakowskiemu członkowi „Sokoła", Wrocław 30. VI. 1990". „Wydaje się — pisze Macedoński — że w wielu domach znalazłoby się mnóstwo takich rzeczy jak ta papierośnica... świadczących o polskim życiu na ziemiach niegdyś utraconych a przed 20 laty odzyskanych przez Polskę. Uważamy, że dobrze będzie podjąć akcję wyszukiwania, zbierania i ochraniania tych przedmiotów".

Popieramy! Jakby to powiedział Macedoński wierszem?

Każdy Polak zbiera pamiątki,
Każdy Polak zbiera pamiątki,
Każdy Polak zbiera pamiątki,
Każdy..."

LUDZIE! Nie cyfra ale liczba! „Kultura" pisze: „Oddajemy... setny numer „Kultury". Cyfra ta oznacza..." A. Bohdziewicz zabiera znów głos w „Kierunkach" na temat polskiego filmu i stwierdza: „Kin u nas w stosunku do cyfry ludności powinno być znacznie więcej..."

Z. ZBOROWSKI ma kosmiczny problem do rozwiązania na łamach „Gazety Białostockiej":

„Na to pytanie warto by
Odpowiedź dać w sputników erze:
Do czego będą wyły psy —
Gdy się na Księżyc je zabierze?"

Gdyby psy umiały czytać, nie byłoby tego problemu!

W CHWILI, gdy piszemy te słowa Wyścig Pokoju dopiero się rozkręca. Życząc naszej ekipie jak najlepszych wyników, nie możemy sobie odmówić zacytowania komentarza (PAP-u?), który znaleźliśmy na łamach „Kuriera Lubelskiego": „Wśród przyczyn, które na II etapie nie pozwaliły naszym chłopcom zająć jeszcze wyższej lokaty, przyczynił się jeszcze... głód. Kapitan polskiego zespołu, Gawliczek, w ciągu 2-godzinnej jazdy tak zgłodniał, że nie miał siły kręcić".

Biedny Gawliczek! Co będzie dalej? Czy czechosłowackie knedliczki zadowolą jego apetyt... na lepszą lokatę?

GDAŃSKIE „LITERY" są coraz ciekawsze. Mamy jednak pytanie: dlaczego L. Dudley do zdjęcia zamieszczonego na 1 stronie majowego numeru tak fatalnie ustawił przystojną modelkę?

W zastępstwie
MAJ

Odpowiedzi Redakcji

P. K. w Sokołowie Podlaskim: Zatrzymujemy „Na łące" i „Szczęście". W pozostałych Pana utworach wiele prozaizmów. Wiersz to nie... artykuł wstępny.

„Ostręga" w Krakowie. Najlepsza „Orka". Może zamieścimy. W każdym bądź razie pracować warto.

T. Z. R. w Świętochłowicach. Na debiut jeszcze za wcześnie. Stosunkowo najbardziej interesujący utwór „...Mijamy się w tłumie". Proszę nam po pewnym czasie przysłać większy wybór. Dziękujemy za miłe słowa.

T. S. w Bielawie. Pisze Pan w wierszu pt. „Zabawa w okupanta": „Pasemka trawy bez podpórek wygięły się w dziewicze łuki. Dłoń kładę na Wenery wzgórek. W usta biorę twoje sutki. Bawimy się dziś w okupanta, okupujemy dziś to wzgórze. W tej chwili dzięcioł partyzantem i wielkie słońce na lazurze". Tak wygląda zabawa w okupanta? Tę „zabawę" nazwalibyśmy zupełnie inaczej. I bez rymów.

B. J. w Katowicach. Dziwna rzecz: cofa się Pan zamiast iść naprzód. Wiersze pisane w 1950 r. są daleko lepsze od tego, który powstał w 1965 r. Zatrzymujemy „Poemat górniczy", ale — jeśli pójdzie — to dopiero w grudniu. Proszę nam coś napisać o sobie; czy Pan już gdzieś drukował?

„Hiwa" w Lublinie. Wiersze niekoniecznie muszą być przepisane na maszynie. Proszę jednak pisać wyraźnie — ta uwaga odnosi się do wszystkich autorów.

B. W. w Chobrzanach i „Metz" w Lublinie. Niestety, bardzo słabe.

F. R. w Pabianicach. Zatrzymujemy „W nawoływaniach nocy" i dwie fraszki.

M. B. w Pińczowie. Pisze Pani, że jest jeszcze uczennicą. A w wierszu czytamy: „Nie warto kochać, ludzie są podli. Naigrywają się z twoich uczuć. Nie widzą nawet, jak bardzo się mylą. Nie wiedzą, co to zemsta i nienawiść niekochanej". Czy nie za wcześnie na takie sformułowania? Ludzi trzeba najpierw samemu dobrze poznać, a jednej podłości — jeśli się nawet zdarzy — nie uogólniać!

Z. U. w Krasnymstawie. Wykorzystalibyśmy, ale zdjęcia techniczne bardzo słabe. Prosimy o lepsze.

J. S. w Białej Podlaskiej. Prawdopodobnie wykorzystamy, ale w późniejszym terminie. Materiałów, nie zakwalifikowanych do druku i nie zamówionych — nie zwracamy.

„Jart" w Nowym Sączu. Dlaczego Pana utwory są takie nierówne? Cytujemy dwa fragmenty. Pierwszy: „O, Barbaro zmysłowa, Barbaro namiętna, Twoje usta i uda jak brzegi pucharu kusiły, bo nie byłaś wcale obojętna, smutna, tańcząca ze mną i smutkiem, Barbaro". Drugi: „Samotność jest nonsensem, zmierzchem przyjaźni, klęską, samotność jest niedorzecznym wyrazem zmurszałego serca nie wierzącego w ufność. Samotność jest bólem tęsknoty, nieubłaganiem i śmierci... Samotność nie może być moją".

KAZIMIERZ ŁOJAN

Pro domo sua

Jakże bardzo mnie wzruszył
Pewien utwór w „Kamenie";
Czuję teraz w mej duszy
Dziwne uKAJenie...

Z „Silva rerum"
(1839)

WYJAŚNIENIE

„Przyjacielu! Kto widział — drzemać
o tej dobie?"
„Ach! Brzydzę się próżniactwem,
dlatego śpię sobie!"

ZŁOTNIK

Pan Piotr szczęśliwy w kochaniu
Po krótkim dosyć staraniu
Chcąc los polepszyć przez ożenienie
Kazał dwa ślubne zrobić pierścienie...
I gdy już złotnik pełen ochoty
Zaczął topić kruszec złoty
Ktoś go zapytał: „Powiedz, panie
Bracie,
Cóż to robić zamyślacie?"
Na to odpowie spytany:
„Kuję dla ludzi wieczne k a j d a n y!"

MACIEK

Raz Maciek — arcygamoń, co już nie
sto razy
Tłukł Panu różne sprzęty, w wielkiej
nieraz cenie
Niosąc za nim ze sklepu dwie
kosztowne wazy
Przez niezgrabność opuścił jedną na
kamienie...
„Jakże mogłeś to zrobić, niegodziwy
sługo!"
Wola Pan. „Tak!" — rzekł Maciek —
i stłukł wazę drugą!

Do druku podał: LM

— W imieniu prawa — jest pan uwięziony!

Orientalczyk odwrócił się do detektywa i wstrząsnął z uśmiechem głową.

— Jest pan uwięziony! Niech pan nie gra komedii i niech się pan nie wypiera! Popełnił pan krwawą zbrodnię, która panu nie ujdzie bezkarnie!

...Słowa detektywa padły w zebrane towarzystwo jak iskra w beczkę prochu strzelniczego.

— Na miłość boską, co się tu dzieje? — zawołał mister Watt i zwrócił się do detektywa. — Mój kochany panie Pratto, co pan robi? Czego pan chce od tego pana? Cóż on mógł takiego zrobić?

— Pofatyguj się pan natychmiast do groty, panie Watt — zawołał Pratto wzburzony. — Zobaczy pan tam Anitę Larę, na której popełniono zbrodnię.

— Boże wszechmocny! To przecież niemożliwe! Popełniono zbrodnię i to w moim domu?

— Tak jest, ten złoczyńca przebił ją sztyletem! — odparł Leonardo Pratto i wskazał swym rewolwerem na Turka.

Horacy Watt pobiegł jak szalony ku grocie, a za nim poszło kilku uczestników uczty.

Większa część została jednak, aby zobaczyć, co sławny detektyw poczni.

— Daj pan ręce! — zawołał Pratto groźnie na Turka. — Okuję pana natychmiast w kajdany!

— Spróbuj pan — zawołał Turek po francusku, dialektem ludowym, ale nie obcym akcentem. — Ha, ha! Czy to wszystko należy także do uroczystości? Jeżeli to państwu taką przyjemność sprawia, to mogę się też dać okuć, mimo że na to nie byłem przygotowany.

W tej chwili tknęło Pratta straszne przeczucie. Przejrzał teraz i spostrzegł, że go ktoś w pole wyprowadził.

— Zdejm pan tę czarną maskę — krzyknął ostro na Turka. — Nie zwlekaj pan dłużej.

— Owszem! — ozwał się Turek, tym samym żartobliwym tonem. — Było mi jednakowo strasznie gorąco pod tą maską. Tak, mój panie, — popatrz mi się pan teraz w twarz. Czy zadowolony pan z tego?

To mówiąc, zdarł swą maskę z twarzy.

Pratto cofnął się o krok.

Spojrzał bowiem w prostacką bezwyrazistą twarz człowieka, który nie wyglądał wcale na proszonego gościa amerykańskiego ambasadora. Twarz jego okalała broda, a niskie czoło i głupie oczy zdradzały okropnie niski stopień inteligencji. (...)

A. G. Armandi: „Leonardo Pratto czyli postrach „Ognistego Miecza"